Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 22 listopada 1936 r. Nr. 47



CO ZROBIĆ?....

Co zrobić z tą miłością, co jest nad wszystko mocniejsza i całe życie burzy?

Wyciąga się do niej ręce, choć ma kolce, jak gałązka róży.

Co zrobić z tą miłością, co taka niepotrzebna, taka nieuzasadniona?

Rozum mówi: nie... nie... nigdy już... a serce jest za nią stęsknione...

Co zrobić z tą miłością? Rozum jej nie chce, choć sercu jest droga.

A jednak jest jedyną, o którą błagało się Boga.

Z. R.

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Podczas, gdy ci ludzie z gminu tak się sercem połączyli, szukał Egon w cichem ustroniu leśnem sposobności, aby Adzie swą miłość wyznać.

W chwili, gdy Egon w wyszukanych wyrazach wynurzał jej swoje uczucia, Ada liczyła po cichu, że to już dwunaste oświadczyny, które słyszy.

Nie było to więc dla niej nic takiego, coby miało urok nowości.

Ale udawała, że słyszy to po raz pierwszy, że jej ktoś mówi o miłości, z oczyma spuszczonymi słuchała zarumieniona gorących jego wyznań.

Gdy skończył, odważył się chwycić jej rękę i począł okrywać pocałunkami rękawiczkę, która okrywała delikatną rączkę.

Hrabianka nie broniła mu tego, a on ośmielony tem, objął ją ramieniem i pocałował ją w różane usta.

I teraz ona nie wzbraniała się i zdawało mu się, że i Ada nieśmiało oddawała mu pocałunki.

Upojony tem szczęściem, rozpalał się Egon coraz bardziej i był coraz namiętniejszy w swoich pieszczotach.

Nareszcie pomyślała hrabianka, że jej suknia mogłaby na tem ucierpieć.

Jakby to było okropne, gdyby w pomiętej sukni wróciła do towarzystwa.

Zresztą i tak było już zadługo z Egonem sam na sam.

Wprawdzie młodzież rozproszyła się we wszystkich kierunkach parami, by zbierać kwiaty, ale starszyzna siedziała na ławkach z mchu i przypatrywała się im, udzielając sobie wzajemnie różnych uwag.

Żałowano przedewszystkiem, że te, tak wspaniale przyrządzone ławki z mchu, nie miały oparcia ani poręczy.

Skarżyli się, że ziemia nie jest tak sucha, jak to się zdawało.

Po trzecie, krytykowali sposób podawania potraw, które naturalnie pod gołem niebem, musiało być inne niż w sali jadalnej.

Gdyby jakie ptaszę było gospodyni wyszeptało te uwagi, byłaby się bardzo zmartwiła.

Gdy się jednak zbliżyła do którejkolwiek z grup rozmawiających, obsypywali ją szlachetni goście komplementami i wyrazami podziwu za tak świetne urządzenie przyjęcia.

Ada znała złośliwość swych znajomych i prosiła Egona ze wzruszającą nieśmiałością, żeby ją zaprowadził do reszty towarzystwa.

— Czy mogę jutro rano ojcu pani złożyć wizytę, moja ubóstwiana? pytał Egon, patrząc na nią z niewymowną czułością.

Ona milcząc ścisnęła mu rękę i spojrzała nań tak nieśmiało, a przytem tak czule, że Egon był uszczęśliwiony.

W gorących wyrazach wyznawał jej Egon znowu swą miłość. Próżność jej była zadowolona, słuchała go chętnie.

O, jakiej zmianie byłyby uległy jej uczucia, gdyby była wiedziała, że Egon to samo niedawno prawił Mali.



Z okazji uroczystości koronacji w Londynie króla Edwarda VIII ustalony został już krój świątecznej sukni. Zdjęcie nasze przedstawia suknię, której nałożenie w dniu koronacji obowiązywać będzie wszystkie panie.

Jakby się była oburzyła, gdyby była wiedziała, że w miłości Egona jest następczynią siostry swej własnej garderobianej.

Narazie nie wiedziała o tem nic i uśmiech szczęścia upiększył jej rysy.

I gdy tak pod ramię wróciła z Egonem do towarzystwa, starsze panie, posiadające spryt w sprawach tego rodzaju, spojrzały na siebie znacząco, a młode docinały jej i naciągały, czego ona słuchała z uroczem zadowoleniem.

Wieczorem, gdy się goście mieli rozjechać, Egon wsadzając Adę do powozu namiętnie szepnął jej do ucha:

— Jutro najdroższa!...

Ada usiadła na miękich poduszkach powozu i marząc zamknęła oczy.

— Kobieta zamężna ma przecież inne znaczenie w towarzystwie, niż panna — myślała sobie. — Gdy będę baronową Szturmfeder (nie myślała wcale o tem, — gdy będę żoną Egona) — będę miała swój własny dom i urządzę go tak, jak mnie się podoba. Będę mogła zapraszać tylko tych gości, których ja będę chciała, będę podróżowała jeżeli zechcę, albo siedzieć w domu, kiedy mi przyjdzie ochota. Więc najlepsze, co mogę uczynić, to jest przyjąć barona Egona.

Przybywszy do domu, była dla otoczenia mniej kapryśna, niż zwykle.

— Proszę mi przygotować, Marto, na jutro mój biały, kaszmirowy strój, — rzekła — gdyż oczekuję wizyty.

Gdy Ada już leżała w łóżku, przyszła do niej hrabina matka.

— No, jakże się bawiłaś, moje kochane dziecko? — spytała.

— Dość dobrze.

— Baron Szturmfeder wyróżniał cię widocznie — rzekła hrabina. Gdyby nie miał tak świetnych widoków na przyszłość, byłabym ci radziła, trzymać się z daleka, żeby się nie kompro...

— Ależ, proszę mamy, — przerwała Ada — już ja wiem, co robię, on przecież ma świetne widoki. Jutro złoży ojcu wizytę.

— Ośmieliłaś go? — spytała żywo hrabina — przyjmiesz go?

— Jeżeli do jutra nie zgłosi się żaden lepszy konkurent, to go przyjmę — zimno odpowiedziała Ada, jakby chodziło o jakiś interes kupiecki.

Marta była jeszcze w pokoju. Słyszała całą rozmowę i pomyślała:

— Panna hrabianka nie zna miłości. Mnie, gdyby teraz książę chciał wziąć, to bym się nie zgodziła i powiedziałabym stanowczo, że wyjdę tylko za tego, którego kocham.

— A więc mama wie, co trzeba powiedzieć ojcu, — zagadnęła Ada matkę — gdyby miał jakie wątpliwości?

— Ach, gdyby tylko znaleźli zwłoki hrabiego Wernera — odparła hrabina.

— Doprawdy — jaka mama nudna — zawołała hrabianka. — Kto wie, gdzie i w jakiej szczelinie czy przepaści leżą zwłoki hrabiego Wernera. Teraz niech mi już mama da spokój, bo chcę spać, aby jutro pięknie wyglądać, gdy on przyjedzie.

Hrabina ucałowała lekko czoło córki i dała także Marcie polecenie, by wyszła z pokoju.

Sama wysunęła się na palcach z pokoju tak ostrożnie, jakby w nim leżał ktoś obłożnie chory.

Nazajutrz, jeszcze przed porą wizytową, zgłosił się Egon u hrabiego Dornbrucha.

— Właściwie, pańskie stanowisko jest jeszcze zawsze trochę niepewne, kochany baronie — odpowiedział z wahaniem hrabia Dornbruch. — Dwa lata mogą minąć, nim pan dostanie pozwolenie objęcia spadku.

— Gdybym miał wpływowych przyjaciół, którzyby sprawę w odpowiednich władzach poparli — rzekł Egon — możnaby sprawę znacznie przyspieszyć. Dla mnie jest to faktem dokonanym, że mój nieszczęśliwy kuzyn nie żyje, bo gdyby żył, byłby już dawno wrócił do Königswalden.

— Ale zagadkowe jest, że nie znaleziono dotychczas jego zwłok.

— Ja to sobie całkiem jasno tłumaczę — rzekł baron. — Często są w naszej okolicy cyganie i cała moc różnorakich opryszków. Musieli oni znaleźć jego zwłoki, obedrzeć i zakopać

— Być może — odpowiedział hrabia Dornbruch, po czym żywo dodał:

— Ja nie mam nic przeciw panu, panie baronie. Wiem wprawdzie, że pan trochę za wesoło żyłeś, ale każdy młody mężczyzna musi się wyszumieć. Pochodzi pan z jednej najbardziej szanownych rodzin szlacheckich i nie jestem od tego, by panu oddać rękę mojej córki, jednakże dopiero wtedy, gdy pan obejmie spadek Wildensteinów.

Baron Egon zbladł. Takiej odpowiedzi nie spodziewał się.

— Tak długo chce mnie pan hrabia torturować? — spytał błagalnie.

W tem otworzyły się bez szelestu drzwi i do pokoju weszła hrabianka Ada, która podsłuchiwała pod drzwiami całą rozmowę.

Egon szybko pochwycił ją za rękę i przyprowadził przed hrabiego.

— Prosimy o błogosławieństwo — rzekł.

— Kochasz go, Ado, prawdziwie go kochasz? — pytał hrabia z naciskiem. — Czy on ci koniecznie potrzebny do szczęścia?

— Ach, tak, papo — szepnęła Ada nieśmiało jak podlotek.

— Czy pan da jej szczęście? — spytał hrabia Egona.

— Będzie to jedynym celem mego życia, moją ukochaną Adę uszczęśliwić — rzekł baron, marzycielsko zawracając oczyma.

Hrabia nie wiedział o tem, że on to samo powtarzał już niejednej ładnej dziewczynie i dlatego błogosławił ich.

Tak więc Egon i Ada byli zaręczeni i podczas gdy Mala w niepokoju i troskach czekała powrotu kochanka, on już pieścił i całował narzeczoną.

Podczas gdy Mala sprzedawała kolczyki, broszki i bransoletki, aby miała z czego wyżyć, baron używał kredytu swego na podarki dla narzeczonej, a o biednej Mali zapomniał zupełnie. Ona była dla niego zabawką kilku próżniaczych godzin. Co go to obchodziło, że jej serce pękało.

ROZDZIAŁ XXV

Miłość waży się na wszystko

Żadne pióro nie jest zdolne opisać radości Sylwii w chwili, gdy się przekonała, że Werner nie leży w Wilczym Dole Czartowskiego Jaru.

W objęciach pani Herbertowej płakała łzami szczęścia i radości.

— Dzięki Panu Bogu — mówiła — hrabia Werner żyje.

Leśniczyna nie dzieliła jej błogich nadziei.

Ze łzami patrzyła na jej pokrwawione ręce, a do ust wlewała jej wino dla pokrzepienia.

Po chwili Sylwia poczęła opowiadać:

— Im głębiej byłam, tem straszniej tam wyglądało. Wszędzie sterczały popękane, zwietrzałe skały, każdej chwili grożące oberwaniem.

Krzaki borówkowe i skarłowaciałe pnie pokrywały stoki i brzegi przepaści, na dnie nie było nic, tylko gdzieniegdzie mały mech.

Mrok panował tam gęsty i niepokojący.

Przeszłam dołem wszystkie strony. Nietoperze latały ponad moją głową. Małe jakieś zwierzątka patrzyły na mnie rozumnie. Leniwe robactwo pełzało dokoła mych stóp, ale nigdzie nie zauważyłam śladu zwłok Wernera.

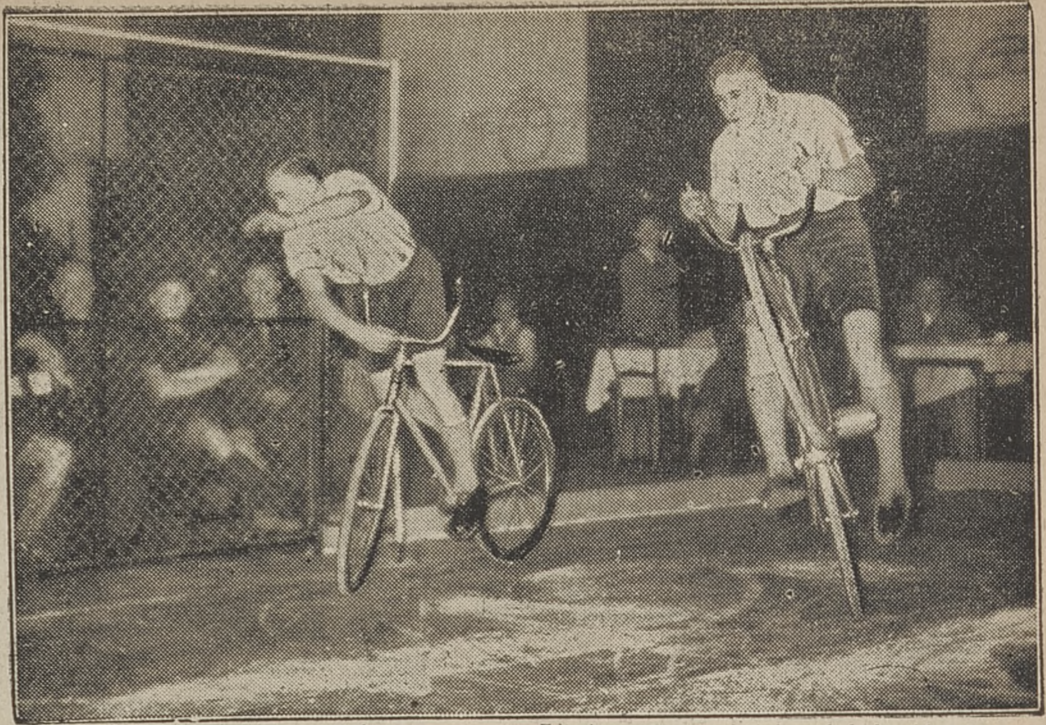
— Sępy i inne drapieżne ptactwo musiało je zjeść — wtrącił ksiądz.

Sylwia zbladła jak trup. — Natychmiast jednak zawołała:

— To niemożliwe, bo byłyby tam przynajmniej jego kości, skoro ich tam nie ma, to widać zapewne, że on musi żyć.

— Tak jest, Sylwia ma zupełną rację — rzekł leśniczy.

— Obawiam się, że nie — rzekł ksiądz — gdyby żył, byłby przecież powrócił do domu. Musiał gdzie-



Zaczął się znowu okres gry w piłkę na rowerach. Zdjęcie nasze przedstawia młodych chłopców popisujących się efektownym wykonaniem figur przy rozstrzyganiu konkursu, na zawodach.

dziej w górach spaść, potoki górskie mogły porwać jego ciało i zanieść Bóg wie gdzie.

— Już ja się dowiem, czy ksiądz słusznie przypuszcza — rzekła Sylwia stanowczo — przeszukam całą okolicę, we wszystkich kierunkach, żebym miała jakąś pewność.

— Co? — zawołała leśniczyna przerażona — zaledwie raz uszłaś śmierci szukając niebezpieczeństwa i znowu chcesz życie narazić?

— Ależ nie, mamo, chcę tylko zrobić, co mi nakazuje obowiązek wobec mego narzeczonego, skoro to uczynię, poddam się woli Boskiej.

Wrócili do domu.

Sylwia opierała się o ramię Herberta, ukrywając starannie straszliwe zmęczenie.

Wieśniacy podziwiali jej bohaterstwo i niezwykłą odwagę i współczuli z nią w głębi serca.

Wróciwszy do domu, Sylwia położyła się zaraz do łóżka, chociaż był jeszcze biały dzień.

Członka ją bolały i cała skóra piekła.

Wprawdzie z powodu licznych guzów na powrozie, sznur nie wrzynał jej się w ciało, ale guzy pozostawiły na nim bolesne odciski.

Ręce miała pokaleczone do kości, bo uderzała niemi o skały, chcąc się uchronić od roztrzaskania głowy i klatki piersiowej. Ale chociaż każdy członek ją bolał, to jednak czuła w sercu ogromną ulgę. Postanowiła sobie nazajutrz rano, nim rodzice się obudzą, wykraść się z domu i dokładnie przeszukać całą okolicę. Na kilka mil w szerz i wzdłuż były tam wąwozy i przełęcza, do których trudno było się dostać i tylko najodważniejsi myśliwi tam się zapuszczali. Tam chciała Sylwia szukać kochanka. Wynajdywać jakieś opuszczone zabudowania i namioty cygańskie, u cyganów i kłusowników wypytywać się o niego i być pewna, że tą drogą go znajdzie.

Rozmyślając o tem, usnęła jeszcze przed wieczorem i gdy później pani Herbertowa na palcach wsunęła się do pokoju, zastała ją śpiącą, snem spokojnym.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca obudziły Sylwię.

Wstała, ubrała się prędko, zapakowała suknię jedną, trochę bielizny, najpotrzebniejsze do ubrania się przedmioty, trochę zapasów żywności i wszystkie pieniądze jakie miała. Wszystko to włożyła do torby przymocowanej do skórzanego pasa.

Następnie prędko w kuchni zjadła śniadanie, składające się z zimnego mleka i chleba i napisała do rodziców list następującej treści:

Drodzy rodzice!

Nie obawiajcie się o mnie, gdy prawdopodobnie kilka dni mnie nie zobaczycie, gdyż muszę jakiś czas być po za domem, ale za to częste wiadomości będę wam o sobie przysyłała.

Dziękuję wam serdecznie za waszą miłość dla mnie, przebaczcie mi, że wam mimowoli sprawiam tę przykrość. — Serdecznie was pozdrawia po tysiąc razy wasza wdzięczna córka Sylwia.

Ten list zaadresowała Sylwia do Herberta i położyła go na stół tak, że musiał każdemu wpaść w oczy, kto tylko do kuchni wszedł.

Przewiesiła sobie teraz torbę przez plecy, wzięła ze sobą silny nożyk kieszonkowy, do rąk starą ciupagę i wybrała się w swą daleką i niebezpieczną pielgrzymkę.

Pluto, wierny pies, skakał dokoła niej, pieścił się i patrzył na nią kiwając radośnie ogonem. Zdawało się jakby ją prosił, by mógł z nią iść.

Sylwia pogłaskała wierne zwierzę, a potem powiedziała mu, by się położył. Lecz tym razem pies ją nie usłuchał i poszedł za nią, gdy tylko z leśniczówki wyszła.

Sylwia nie odpędziła go, lecz przymocowała swoją dość ciężką torbę do jego grzbietu i tak kroczyli oboje w pięknym i świeżym poranku.

Byłoby wiele do pisania, gdyby się chciało opisać całą mozolną pielgrzymkę odważnego dziewczęcia.

Musimy się tylko tem zadowolić, żeby pokrótce o jej przygodach wspomnieć.

Kroczyła ona bez obawy po stromych i wąskich ścieżkach, po których tylko od czasu do czasu noga uciekającej kozy stąpała, mijała bez wahania drogi ponad przepaściami na widok których zawrotu głowy dostawali mieszczanie. Płynęła naprzeciw prądu strumyków i szukała w czystych wodach zwłok Wernera.

Noce przebywała często pod gołem niebem, a Pluto ją strzegł.

Czasem udało się jej zdrzemnąć w jakiejś jaskini, to znowu znalazła schronienie u jakiejś gościnnej pasterki.

Zapasy żywności jakie miała, wnet się wyczerpały.

Nareszcie dotarła do folwarku, położonego w uroczej okolicy. Tu zaopatrzyła się znowu w żywność i wysłała stąd do rodziców wiadomość, że ma się całkiem dobrze, ale że jeszcze nie znalazła śladu zwłok hrabiego Wernera.

Jej odwaga, siła i nadzieja wzmagała się z każdym dniem.

Była znowu tak piękną, jak dawniej i niejeden turysta, który ją spotkał, patrzył na nią z prawdziwem uwielbieniem, gdy ją widział tak zgrabnie kroczącą przez niebezpieczne drogi tylko w towarzystwie wiernego psa.

Sylwia jednak zupełnie nie zwracała uwagi na to, jakie głębokie wrażenie piękność jej wywierała.

Już tak się oddaliła od swego rodzinnego kąta, że tylko mała część okolicy została jej do przeszukania i prawie już było niepodobnem, by hrabiego Wernera znaleźć.

Gdyby nawet młody hrabia, jak to utrzymywał kasztelan, opuszczając Felseg, inną drogę obrał, to przecież nie mógł więcej, niż kilka mil oddalić się, gdyż około północy był już jego koń w Königswalden.

Może kłusownicy lub pasterze znaleźli rannego i wzięli do swej chaty, to nie mogła i ona przecież być zbyt oddalona.

Gdyby nawet hrabia był tak zmęczony, a może nawet nieprzytomny, że swego imienia wymówić nie zdołał, to przecież w przeciągu tygodnia przytomność mogła mu wrócić i dlaczegóż on jej żadnej wiadomości nie przysłał, dlaczego nie ulżył jej sercu skołatanemu niepewnością?

To była dla niej zagadka, której sobie wytłumaczyć nie mogła.

Nie było pasterza, kłusownika, kobiety, którejby spotkawszy nie pytała, czy przed tygodniem nie znaleźli potłuczonego młodzieńca, ale wszyscy odpowiadali, że w tym roku nie było jeszcze w górach żadnego wypadku, tylko w okolicy Felseg potłukł się na śmierć młody pasterz i na tem koniec.

Każda taka odpowiedź dodawała jej otuchy.

Wszędzie dokąd przybyła opisywała dokładnie, jak Werner wyglądał, wszędzie badała, czy go nie widziano.

Turyści także utrzymywali, że nie widzieli nikogo podobnego, chociaż góry wzdłuż i wszerz przeszli.



W londyńskiej hali gospodarstwa wiejskiego urządzono wielką wystawę srebrnych lisów, na której można było zauważyć wspaniałe okazy. Zdjęcie nasze przedstawia długie, smukłe lisy, których futra tak bardzo są upragnione, przy ocenianiu wartości przez rzeczoznawców.

Narzeczona hrabiego postanowiła udać się jeszcze w południową okolicę swoich rodzinnych gór, poczem zamyślała do domu powrócić.

Oddaliła się już tak daleko od swego rodzinnego domu, że nie mogła przypuszczać, aby dalej znalazła jaki taki ślad hrabiego Wernera.

Chciała się tylko upewnić, że go nawet i w najodleglejszych chatach pasterskich niema.

Słońce paliło tak, że ani kropla rosy nigdzie nie została.

Sylwia ginęła prawie z pragnienia. Wprawdzie przechodziła koło źródełka, ale woda w nim była lodowato zimna, że Sylwia jako córka gór nie próbowała nawet pić, bo wiedziała jakie to niebezpieczne dla zdrowia.

Nareszcie zobaczyła w oddali stojącą osobno chatkę i tam skierowała swe kroki.

Przed chatą siedziała niezwykle piękna dziewczyna i przędła.

Noga, którą poruszała kołowrotek, była wąska i mała, a ręka wyciągająca nitkę była zadziwiająco delikatna.

Sylwia pozdrowiła ją, a ona odpowiedziała na pozdrowienie, ale wcale jej nie zapraszała do chaty, tylko patrzyła na nią pięknemi, zdziwionemi oczyma.

Pluto stanął przy niej i przypatrywał się jej.

Widać, że mu się podobała, bo głowę swoją położył na jej kolanach i pozwolił się głaskać.

— Jesteśmy spragnieni i zgłodniali — powiedziała Sylwia — czy możemy dostać kawałek chleba i trochę mleka?

Pluto słysząc, że mowa o chlebie, kiwał ogonem z zadowoleniem.

— Ja, ja nie wiem — odrzekła nieśmiało. — Hortensjo! dał się w tej chwili słyszeć ostry głos.

Piękna dziewczyna przestraszyła się, wstała w tej chwili i pospieszyła do chaty, nie patrząc nawet na Sylwię.

Sylwia patrzyła na nią zdziwiona.

Po chwili ukazała się we drzwiach starsza niewiasta i zapytała szorstko: Czego pani tu chce?

— Jestem głodna i spragniona. Czy możecie mi sprzedać trochę mleka i chleba?

— Nie — odrzekła bardzo nieuprzejmie — nie mamy żadnej gospody. Proszę się udać drogą na lewo, tam jest gospoda.

Powiedziawszy te słowa, wróciła do chaty i zamknęła drzwi z trzaskiem, a Sylwia słyszała jeszcze, gdy mówiła podniesionym głosem:

— Ile razy ci już zabroniłam Hortensjo rozmawiać z obcymi ludźmi. Twoje nieposłuszeństwo srogo będzie ukarane.

— Ach, ty taka jesteś zawsze niegościnna i zachmurzona — odrzekła Hortensja — coby ci było szkodziło, gdybyś tę obcą przywitała i przyjęła.

Sylwia nie słyszała już odpowiedzi, bo oddaliła się zaraz, gdy usłyszała szorstki głos starej kobiety.

Głosy rozmawiających kobiet, dolatywały ją jeszcze dość długo.

— Jak dziwnem też było zachowanie się tej starszej kobiety — myślała Sylwia. — Mieszkańcy gór są zresztą bardzo gościnni. Każdy wędrowiec znajduje u nich schronienie. Co to być może, że ta kobieta taka nieprzychylna i niegościnna. Kto wie, czy ona tam czego nie ukrywa.

Sylwia długo jeszcze myślała o kobietach tej tajemniczej chaty, wkrótce jednak przyszedł jej znowu na myśl narzeczony.

— Czy Werner mógł się w tej chacie znajdować? Czy te kobiety myślały, że jego obecność tam ma tajemnicą zostać i dlatego nikogo obcego przypuścić do chaty nie chciały?

Po przebyciu uciążliwej drogi spostrzegła chatę pasterską, przed którą spoczywało dość liczne towarzystwo turystów, których śpiewy i dźwięk szklanek dolatywały do uszu samotnej dziewczyny.

W towarzystwie tem były i panie w eleganckich sportowych strojach, /pa-

nowie byli w kostiumach płóciennych i szpiczastych kapeluszach.

Wszyscy oni spoczywali tu na trawniku rozmawiając i żartując.

Gdy Sylwia się zbliżyła, wszystkich oczy zwróciły się ku niej.

Była to czarująca piękność, a chociaż nie miała ubioru, któryby jej piękność podnosił, przecież przyćmiła wszystkie panie z towarzystwa swoimi wdziękami.

Pies kroczył jak stróż za swoją panią, a gdy jeden z młodszych towarzyszy impertynencko się Sylwii przyglądał, zaczął szczekać i pokazał turyście swe białe zęby.

Pasterka podała Sylwii na jej żądanie za kilka centów chleba i mleka.

Młode dziewczę podzieliło się tym zapasem ze swym psem i gdy się tak posilała, patrzyła jednocześnie na pasterkę, która ciągle była zajęta usługiwaniem swoich gości.

Nareszcie spostrzegła Sylwia, że pasterka już mniej jest zajęta i skorzystała z tej chwili, aby się do niej zbliżyć, rozpocząć z nią rozmowę.

Mówiła najpierw o tem, jak wielu turystów teraz zwiedza góry, potem pytała się, czy jej ci goście w robotach domowych nie przeszkadzają i skąd ona bierze zapasy dla tak wielu gości i t. p.

Gdy już pasterkę ośmieliła trochę, rozpoczęła rozmowę o Wernerze.

Opisywała jej dokładnie jak on wyglądał i zapytywała, czy podobnego pana tu nie widziała.

Jednak ta kiwnęła przecząco głową i odpowiedziała:

— Nie, nie widziałam teraz takiego pięknego pana, tylko zeszłego roku, był tu ktoś podobny, wiem nawet, jak się nazywał. Józek, mój narzeczony, który właśnie tu był, powiedział mi, jak on się nazywa. Był to hrabia Wildenstein, najpiękniejszy młodzieniec, jakiego kiedykolwiek widziałem. Od tej pory tu nie był.

Sylwia wydała okrzyk zdziwienia.

Pasterka poznała według jej opisu, że to był ten hrabia.

— A więc hrabia Wildenstein nie był tu od tego czasu? — spytała Sylwia.

— Nie był — odrzekła pasterka.

— A czy nie było tu żadnego wypadku śmierci? — badała Sylwia.

— Nie, wprawdzie od czasu do czasu potłukł się niejeden i nabawił się sińców i guzów, ale na tem skończyło się.

Sylwia cieszyła się tą odpowiedzią i modliła się w duchu.

Tak jej było lekko na sercu, jakby się była pozbyła jakiegoś ciężaru.

Po chwili dodała:

— Hrabia Wildenstein jest moim narzeczonym, szukam go wszędzie, bo znikł od jakiegoś czasu bez śladu, szukanie moje jest nadaremne. Czy jest możliwe, że ludzie mieszkający w najbliższej chatce, przyjęli hrabiego Wernera?

— Broń Boże — odrzekła pasterka — to są podstępni ludzie, jak wściekłe psy. Oniby się nikim nie zajęli, nikomu pomocy nie udzielili, choćby kto umierał na ich progu.



Włoski minister, zięć Mussoliniego hrabia Ciano udał się obecnie na rozmowy do Wiednia. Widzimy go w gabinecie kanclerza austriackiego. Na prawo kanclerz Dr. Schuschnigg, na lewo sekretarz Schmidt.

Oni nie wpuszczają do swej chaty żadnego chrześcijanina. Niedawno temu wyczerpał mi się chleb i jak to jest w zwyczaju między sąsiadami, chciałam sobie od nich bochenek chleba pożyczyć, ale ładnie wyszłam na tem. Gdy mnie kobieta ujrzała przed chatą, zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Gdym ją prosiła, aby drzwi otworzyła, rzekła gburowato:

— Ani ja, ani nikt z moich do nikogo nie idziemy, więc niech i do nas nikt nie przychodzi.

— Oni muszą coś ukrywać. Mój Józek mówi teraz, że może oni fałszywe pieniądze fabrykują, a może siedzieli długi czas w domu poprawy i dlatego wstydzą się ludzi.

Sylwia podziękowała uprzejmie dziewczynie i pożegnała się z nią.

Poszła znowu ku chacie, w której mieszkała owa szorstka kobieta.

Schowała się między gęste krzewy i obserwowała niespostrzeżenie chatę.

Po jakimś czasie zauważyła jakiegoś mężczyznę, który ciężkim krokiem wyszedł z owej zagadkowej chaty.

Niósł sierp i płachtę na siano.

Po dobrej godzinie otworzyły się drzwi chaty i kobieta wyszła z niej.

Miała naczynie do dojenia.

Sylwia dziwiła się, że ona wychodząc, drzwi zamknęła na klucz, który schowała do kieszeni.

Sylwia cicho przeczekała, aż kobieta się oddaliła, poczem zbliżyła się do chatki, w której jedno okienko było otwarte.

Przecisnęła się zwinnie przez okno i za chwilę była w chacie.

Hortensja siedziała łagodnie wsparta o piec i spała. Cichy krok Sylwii nie zbudził ją i dlatego mogła nowoprzybyła całe wnętrze domu dokładnie obejrzeć. Nikt jej w tem nie przeszkadzał.

Tylko duży, plamisty kot towarzyszył jej, mrucząc.

Nigdzie nie było śladu, żeby tu był hrabia Wildenstein.

Jeden pokój ku wielkiemu zdziwieniu Sylwii był bez łóżka.

W drugim zaś były dwa, w następnym znowu jedno łóżko.

Nie było tu żadnej rzeczy Wernera.

Wszędzie panował niezwykły porządek i czystość wzorowa.

Sylwia nabrała przekonania, że tu była jakaś tajemnica, ale nic zbrodniczego tu się nie działo.

To co opowiadała jej tamta dziewczyna, było więcej oszczerstwem.

Zrobiwszy to spostrzeżenie, wyszła znowu przez okno.

Pluto tymczasem pełnił straż.

Teraz zawył głośno.

— On żyje, Pluto! — zawołała Sylwia, dzieląc się przynajmniej z psem swą radością. — On żyje, wracamy do domu.

Wierne zwierzę, jakby zrozumiało i skakało z radości.

Gdy Sylwia uszła znowu kawał drogi, przybyła na polankę, gdzie pasły się krowy.

Właśnie owa, nieprzyjemna kobieta doiła je.

Rzuciła Sylwii złe spojrzenie, w którym było coś, jakby triumf.

W duchu cieszyła się, że drzwi zamknęła na klucz.

Sylwia pozdrowiła ją uprzejmie.

Ona odwróciła i nieodpowiedziała jej.

Sylwia nie czuła się tym dotknięta.

Cieszyła się zbytnio myślą, że Werner żyje, że ona go znajdzie.

Tą myślą uradowana wracała do domu.

ROZDZIAŁ XXVI.

Opuszczona

W pokoju, w którym był wielki nieporządek, leżała na słomie piękna, młoda dziewczyna z zamkniętemi oczyma.

Nie spała jednak.

Zaprzątnęły ją smutne myśli.

— Dlaczego też Egon nie pisze? — szeptała.

Nie mogła uleżeć.

Wstała i chodziła po pokoju.

— Dawniej było lepiej — myślała — wprawdzie byłam biedną i musiałam ciężko pracować, ale za to, jakże cieszył

mnie każdy zapracowany grosz. Każda suknia, każda para rękawiczek, szal, fartuszek, wszystko to cieszyło mnie niezmiernie.

Nie nudziłam się też nigdy i tęskniłam zawsze za niedzielą.

Ach, minęły te czasy.

Wszystko to porzuciłam dla Egona i dla niego zerwałam stosunki dotychczasowe — A teraz?...

Bodajbym go była nigdy nie zobaczyła.

Płacz zdusił ją za gardło.

Byłaby teraz uczciwą małżonką, gdyby dla Egona nie była się sprzeniewierzyła swemu narzeczonemu.

Wtem ktoś zapukał do drzwi.

Biedna dziewczyna otarła łzy i zawołała:

— Proszę!

Weszła do pokoju jakaś kobieta smukła, ale przy tem tęga.

— Jak się masz, Malo? — rzekła — widzę, że siedzisz i martwisz się, jak Boga kocham, wyglądasz, jakbyś przez godzinę krajała cebulę. Czegożeś taka rozbeczana i nieszczęśliwa?

— Od barona nie miałam jeszcze ani jednego listu. Nie wiem nawet, co się z nim dzieje, widać, że mu się sprzykrzyłam.

— Owa! — zawołała lekceważąco Janka — poszukasz sobie innego.

Głos jej brzmiał jakoś twardo i ordynarnie.

— Tak, ty możesz mówić — rzekła smutno Mala — a mnie serce pęka.

— No, a co mam mówić? Może płakać gorzko? — mówiła ironicznie Janka. Nie ten, to drugi, — to wszystko jedno.

— Ty tego nie rozumiesz — odpowiedziała Mala — tobie wszystko jedno kto, byle miał otwarty pulares. Ja zaś kocham barona Egona; i żadnemu innemu bym się nie oddała.

Janka uśmiechnęła się ironicznie.

— No, no — mówiła z przemądrą miną — już ta twoja miłość do niego gwałtownie wzrasta, od kiedy on dostał ten wielki spadek.

— Nieprawda — oburzyła się Mala — moja miłość na takie rzeczy nie zważa.

— Wiesz co, lepiej nie mów tak — szydziła Janka — takiej mowy słucham, gdy w pobliżu jest jakiś mężczyzna, który się na to da złapać. Ale między nami, panienkami, po co ta komedja.

Chodź lepiej przejść się, to ci wnet te myśli wywietrzeją z głowy.

— Nie mam pieniędzy. Jutro za czynsz trzeba zapłacić, a ja jestem bez centa. Pisałem do niego kilka razy, a on nie odpisuje.

— E, nie wiesz, jak się zabrać do rzeczy? — rzekła Janka, chytrze przymykając jedno oko — ja ci podyktuję list, który zaraz poskutkuje. Pisz!

Mala nie chciała, lecz ona posadziła ją gwałtem prawie na krześle, wetknęła jej pióro do ręki i zaczęła dyktować:

Kochany Egonie! Jeżeli mi natychmiast nie przyślesz 500 zł., będę zmuszona hrabiance Dornbruch wyjawić wiele zajmujących rzeczy o tobie. Twoja wierna do śmierci Mala.



Znana niemiecka tancerka Mary Wigmann obchodziła w dniu 13 listopada 50-letnią rocznicę urodzin. Na zdjęciu artystka w jednej ze swych figur tanecznych.

Zamiast pisać te słowa, Egona kochanka zerwała się jak oparzona.

— A to co!? — zawołała — w jakim on stosunku pozostaje do tej złośliwej i głupiej lalki? Powiedz!

— Nie masz się czego rzucać — zawołała Janka znudzona. Nie trudno się domyśleć, w jakim on stosunku pozostaje do niej. Zaręczony jest z nią.

— To nieprawda — zawołała Mala namiętnie — ty mi tylko tak mówisz z zazdrości! To nie może być, krzyczała jak opętana.

— Boże mój — mówiła Janka przeciągając — coś także! z zazdrości!? Mogłam go przecież mieć, tego twego barona, tylko go nie chciałam — dlatego przyszedł do ciebie.

Poco miałabym kłamać! On przysłał małemu Brogonowi zawiadomienie o zaręczynach Egona barona Sturmfedera z Adą hr. Dornbruch.

Mala przeczytała je i wybuchła płaczem.

— Wiedziałam, że tak będzie — lamentowała.

— Więc czego jesteś tak oszołomiona tem, będąc przygotowaną na to — filozofowała Janka. — Pokaż teraz, że masz rozum. Szczęśliwy, kto zapomina o rzeczach, które się nie dadzą zmienić.

Zaręczyny już się muszą odbyć. Ot, ubierz się ładnie i chodź ze mną! Na szczęście Egon nie jest jedynym mężczyzną na świecie!

Janka jednak zawsze zazdrościła siostrze Mali stosunku z Egonem.

Teraz jednak litowała się nad nią.

Ale Mala była oburzona na nią i zawołała teraz:

— Idź precz, ty fałszywa żmijo! Tylko po toś przyszła tutaj, by się znęcać nademną i nad mojem nieszczęściem.

Jak tobie się stanie to samo, a może ci się stać bardzo łatwo, nie będę się także litować nad tobą.

— Owa! — śmiała się Janka — mnie się to już dziesięć razy zdarzyło, ale ja zawsze byłam rozsądna! Wiedziałam, że każda złość piękności szkodzi, dlatego nie złościłam się.

— A ty? popatrz jak wyglądasz! Popatrz w lustro! Oczy masz czerwone jak wiśnie, nos nabrzmiały — całkiem nie ta sama! Teraz się nikomu nie możesz podobać!

— Nie chcę się nikomu podobać — mówiła Mala z płaczem.

— O!? może chcesz wziąć się znowu do modniarstwa — pytała ciekawie Janka. — Za tych parę groszy, które tam zarobisz — niewiele sobie kupisz! Nie wiem zresztą, czy ci się bardzo będzie podobać przez cały dzień ubierać dla kogoś kapelusz i czepki.

Mala gryzła dolną wargę.

— Nie — rzekła wreszcie z dziką energją — ja Egona nie puszczę wolno. Dla niego pozbawiłam się spokojnej, uczciwej przyszłości — ja pojadę do niego!

— Ale nie masz za co — nie masz centa!

— Nie mam pieniędzy, ale mam ładną garderobę. Wysprzedam wszystkie suknie i za pieniądze uzyskane pojadę. Pójdę do niego w tej sukience perkalowej, w której mnie pierwszy raz widział i spytam:

— Możesz ty naprawdę opuścić twoją Malę? Serce mi się krwawi na samą myśl o tem.

— To on ci na to da jako lekarstwo kilka guldenów i będzie myślał, że postarił sobie Bóg wie jak wspaniałomyślnie, — odpowiedziała jej na to Janka — przecież on dla ciebie nie zerwie z hrabianką Dornbruch!

— Spróbuję — rzekła Mala z dziką energją. — Tak, bez walki nie pozwolę go sobie zabrać. Jeżeli naprawdę jesteś moją przyjaciółką odkup odemnie suknie. My mamy przecież jednakowe figury.

— Ja mam tyle sukien — odpowiedziała Janka — że nie potrzebuję, ale przyprowadzę ci sąsiadkę, panią Meyerową, ona odkupi od ciebie z pewnością pół tuzina sukien.

To przyjemna kobieta. Przybyła tu niedawno z mężem w drodze do Ameryki, ale tak im się tu podoba, że się nie myślą ruszać. Miała same małomieszczańskie suknie, teraz dopiero nasprawiała sobie wiele różnych rzeczy.

Ona z początku zawsze się czerwieniła, gdy jej w sklepach mówiono „wielmożna pani“, teraz już się przyzwyczaiła do tego. Ja ci ją tu przyślę.

Skinęła jej uprzejmie na pożegnanie i wyszła.

Pół godziny później przed mieszkaniem Mali zatrzymała się dorożka, a z niej wysiadły dwie panie.

Jedna z nich była Janka, w drugiej poznajemy Zuzię, żonę byłego stangreta, rudego Meyera.

— Powiedziałam pani — mówiła jej Janka, prowadząc ją przez schody — zobaczy pani stroje i toalety, które warto widzieć.

— No, ja wiem — odpowiedziała żona byłego stangreta — ja wiem, że są ładne toalety. Ja sama nosiłam takie, że mi jedna hrabina zazdrościła — chwaliła się. — Trzeba pani było widzieć moją suknię ślubną! Byłaby pani dopiero oczy wytrzeszczyła.

(Ciąg dalszy w nast. numerze).

KAZIMIERZ ŁAGANOWSKI 8)

Niebezpieczny Gość

Powieść

— Zaraz Janeczko. Mówiłem, że mógłby mimo woli sprawić nam różne nieprzyjemności, a w szczególności tobie, więc obowiązkiem moim, jako ojca, jest zapobiegać temu. Widzę, że zdziwiły cię moje słowa, ale wiem, co mówię i wiem, że mnie rozumiesz. Odebrałaś staranne wychowanie, ale, utraciwszy bardzo wcześnie matkę, byłaś pozbawiona tej najlepszej i najwyrozumialszej opiekunki, przed którą mogłabyś zwierzać się z swych wszystkich radości i strapień... Może to jest moją winą, że nie masz do mnie zupełnego zaufania, a może tylko nie masz tyle śmiałości, aby wywnętrzyć się przede mną z wszystkiego — może krępujesz się... Bo widzę, że nie jesteś ze mną tak szczerą, jak dawniej. W ostatnich dniach spostrzegłem w tobie dziwną zmianę i zastanawiałem się nad jej przyczyną...

Janka opuściła głowę na piersi, które falowały szybko.

— Mów dalej ojcze — rzekła drżącym głosem. — Proszę cię, mów dalej.

Pan Krański milczał sekund kilka, jakby wahał się czy kontynuować już rozpoczętą rozmowę, po czym ciągnął dalej:

— W czasie, gdy przebywałaś w Krakowskiem, czułem się strasznie osamotniony, to też nieomal z radością odstąpiłem mieszkanie letnikom, tem więcej, że uwiadomiłaś mnie wówczas, iż wrócisz za dwa miesiące dopiero. Nie przeczę, że towarzystwo młodych, inteligentnych ludzi było mi przyjemnym i niejako urozmaiceniem szarego, codziennego życia. Ale teraz, kiedy do willi zjechały dwie młode panienki, sytuacja zmieniła się i...

— I co?

— ...i dłuższy pobyt w willi młodych obcych ludzi mógłby zwrócić uwagę. A świat jest zły... podejrzliwy... kto wie, na jakie mógłby wpadać domysły i jakie wyprowadzać z tego wnioski. A pan Doniecki...

— Co, pan Doniecki?

— Nie chcę jemu nic zarzucać, ale jest młody, przystojny, wykształcony, więc niezawodnie z pretensjami do świata i ludzi. Tyś dziewczyna urodziwa, moja Janko, mogłabyś mimo chęci i woli sprawić na nim silniejsze wrażenie. Mogłabyś wywołać uczucie, którego podzielać nie możesz i wzbudzić nadzieje, których podrywać się nie godzi.

— Ależ dlaczego?...

— Jest dużo przyczyn.

— Mianowicie?

— Zauważyłem, że za dużo interesuje się tobą. Nie jest to niewinny sobie flirt, bo on poprostu wodzi za tobą oczyma, a dzisiaj rano był najwidoczniej zgnębiony z powodu twej nagłej odmowy wzięcia udziału w wycieczce. Z tego już widać, że musi mieć jakieś nadzieje... Wprawdzie wydaje się człowiekiem dobrze wychowanym i uczciwym, ale pozory często mylą. Nie znamy go bliżej i kto wie jakie ma względem ciebie zamiary...

Janka bystro spojrzała na mówiącego, a na jej twarzy malowało się zdziwienie i niedowierzanie.

— Wie ojciec — rzekła — co w tej chwili przyszło mi na myśl?

— No?

— Że ktoś musiał cię okłamać... Ktoś przed tobą oczernił pana Donieckiego! — dodała z naciskiem.

— Co znowu! — zawołał pan Krański, odwracając równocześnie głowę. — Skąd takie przypuszczenie?...

— Zmieszanie twoje, ojczulku, daje mi poznać, że to nie są tylko przypuszczenia. Nie wiem jednak kto był tym oszczercą i jaki mógł mieć interes...

Pan Krański zerwał się z fotelu i począł przechadzać się po pokoju. Janka obserwowała go uważnie. Był zaniepokojony i jakby zakłopotany. Janka zrozumiała teraz, że wpadła na trop jakiejś intrygi: Ktoś usiłował oczernić Zdzisława Donieckiego i szkodzić mu na sławie! Ale kto to jest ten „ktoś"? — odpowiedzieć może jedynie ojciec.

Tymczasem ten chodził po pokoju dziwnie wzburzony. Przystanął potem, popatrzył na córkę i, biorąc jakieś postanowienie, podszedł do, znajdującej się w rogu gabinetu, etażerki. Chwilę szperał pomiędzy książkami. Zbliżył się potem do dziewczyny, trzymając w ręku jakiś papier.

— Otrzymałem to z dzisiejszą pocztą — rzekł trochę drżącym głosem. — Masz, przeczytaj...

Janka starała się opanować wzruszenie. Wzięła podany list i szybko przebiegła go oczyma. W miarę czytania twarz jej pokrywała się rumieńcem oburzenia.

Był to bowiem anonim o następującej treści:

„Wielmożny Panie!

Widziałem córkę Pańską w towarzystwie niejakiego p. Zdzisława Donieckiego z Poznania. Mimo ujmującej powierzchowności tego kawalera, nie radzę jednak ufać mu zbytnio. Jest to młodzieniec o bujnej przeszłości... Znam go dobrze. Udaje skromnego i bardzo honorowego, gdy w rzeczywistości jest to typ miejskiego donżuana. — Jako człowiek uczciwy czuję się zobowiązany przestrzec Pana.

Gość."

— Ależ to bezczelne kłamstwo! — oburzyła się Janka. — Szkaradne oszczerstwo!... Chyba nie dasz wiary, ojcze, temu podłemu człowiekowi, który dla jakiegoś celu napisał ten obrzydliwy anonim?...

— Nie, Janeczko. Nie można dawać wiary temu, co napisano w tym liście, ale zawsze lepiej być ostrożnym...

— O, widzę, że ojciec wątpi w honor pana Donieckiego! — zawołała tak gwałtownie, że zdziwiło to pana Krańskiego.

— Mylisz się dziecko — odrzekł spokojnie. — Zdążyłem już nieco poznać pana Donieckiego i przekonałem się, że jemu można we wszystkiem zaufać. Nie wątpię, że jest on młodzieńcem szlachetnym. A jeśli pokazałem tobie ten anonim, to wcale nie w tym celu, aby przekonywać cię o jego prawdziwości, bo sam uważam, że autor nieświadomie, czy też umyślnie, minął się z prawdą.

— „Jako człowiek uczciwy..." — przedrzeźniała Janka wyjątki z listu. — Uczciwy człowiek nie pisze anonimów... Gość... Co za gość?!... Ojcze, nie masz żadnych podejrzeń?... Nie wiesz, kto może być autorem tego anonimu?

— Nie, moje dziecko. Nie mam o tem najmniejszego pojęcia.

Janka wpatrzyła się w pismo. Litery były foremne, lecz stawiane koszlawo, jakby umyślnie starano się zmienić charakter pisma. Poznać jednak było można wypisaną rękę męską.

— Żebym tak mogła dowiedzieć się kto to napisał! — westchnęła Janka. — Chociaż — gdzie zamieszkuje... Nie zastanawiałeś się nad tem ojcze?

— Głowiłem się nad tem całą godzinę i... bez rezultatu.

— A gdzie list został nadany?

— Na kopercie była pieczątka tutejszej agencji pocztowej.

— Więc ktoś z miejscowych ludzi... Ale kto?... Pisze, że zna dobrze pana Donieckiego, a przecież tutaj nikt go nie zna dobrze. Więc kłamie!...

Pan Krański milczał. Uderzyła go trafność rozumowań córki.

— Zważ dalej ojcze — ciągnęła Janka. — Wszak zaledwie trzy dni przebywam w willi „Aurorze", a że w pierwszym dniu po powrocie z krakow-

skiego, nie wyszłam nigdzie ani na krok, więc autor anonimu mógł dowiedzieć się o moim przyjeździe dopiero wczoraj. List musiał być także wczoraj napisany. Więc jakim sposobem mógł widzieć mnie wczoraj w towarzystwie pana Donieckiego, kiedy — za wyjątkiem kilku chwil spędzonych w ogrodzie — nie byłam z nim nigdzie? I dlaczego taki pospiech w przysłaniu tej „przestrogi"? Czy tylko nie kryje się w tem jaki interes...

— Jaki interes?

— Czy ja wiem? Może ten „ktoś" lubuje się w tego rodzaju „sporcie", jak pisywanie anonimów, oczerniających niewinnych ludzi... A może komu zależało na tem, aby uprzedzić nas do pana Donieckiego? Może myślał, że uwierzymy w jego oszczerstwa i, że odtąd lekceważąco i pogardliwie będziemy traktować pana Zdzisława i upokorzymy go w ten sposób. Któż odgadnie jakie intencje miał ów „Gość"?...

Zastanowiła się. Naraz brewki jej ściągnęły się groźnie.

— O, już wiem! — wykrzyknęła, zapomniawszy o obecności ojca. — Chciał ośmieszyć Zdzisława i, przedstawiwszy go w tak ciemnym świetle, pragnął wstawić nieprzebytą zaporę pomiędzy nasze uczucia...

Pan Krański znieruchomiał. Poważny, niemal surowy wzrok jego spoczął na twarzy córki.

— Co ty wygadujesz, Janeczko? — zawołał. — Zdaje mi się, że za bardzo bronisz tego pana Donieckiego. Ktoś pragnął wstawić zaporę pomiędzy wasze uczucia... Co to znaczy?... Jak to mam rozumieć?...

Dziewczyna spuściła oczy. W szlachetnem oburzeniu broniąc Zdzisława, niebacznie zdradziła się przed ojcem ze swych uczuć do młodzieńca. Ale może lepiej tak. Powie ojcu wszystko.

— Ja i pan Zdzisław — odparła — jeszcze zeszłego roku przyrzekliśmy sobie być przyjaciółmi i...

— I?...

Janka wyprostowała się.

— Ja — ojcze — kocham go!

Pan Krański cofnął się o parę kroków.

— Ty Janko? — zawołał jakby przerażony. — Ty go kochasz?... To niemożliwe!

— Dlaczego ojcze? Czy może pan Zdzisław nie jest godny mej miłości?

— Nie, nie to, ale... Mówiłem już, że go jeszcze dobrze nie znamy. Ty, Janeczko, jesteś jedynaczką i przy swej urodzie...

— O, ojczulek obawia się, że pan Doniecki może nie dorównuje mi majątkiem?... A ja nie dbam o to wcale. Jest wykształcony, inteligentny, przytem ma stanowisko i podoba mi się. To dla mnie wystarcza. Zresztą nie musi być bankrutem, a że nie znamy jeszcze jego stanu majątkowego, więc nie możemy prowadzić dysputy na ten temat. Co do mnie, to zalety duchowe u mężczyzn więcej cenię ponad wszystko inne.

— Takie są też i moje zapatrywania, ale... Janka tupnęła nóżką.

— Ale i ciągle ale!... A ja go kocham i jego tylko chcę za męża.

— Czy już się tobie oświadczył?

— Nie jeszcze. Jest za honorowy, aby wyznawać swą miłość, nie upewniwszy się wprzódy, czy strona zainteresowana przyjęłaby takie wyznanie.

Pan Krański w zadumie krążył po pokoju. Rozważył coś w myśli, bo usta jego poruszały się w niezrozumiałym szepcie, a wysokie czoło marszczyło się uporczywie. Wreszcie stanął przed córką.

— Janeczko — rzekł serdecznym tonem. — Mam cię jedyną tylko i nigdy nie darowałbym sobie, gdybyś z mej przyczyny była nieszczęśliwą w małżeństwie. Utrzymujesz, że kochasz pana Donieckiego? Ja w tej chwili nie jestem za tem, ani przeciw temu. Namyśl się jeszcze dobrze, a ja tymczasem zasięgnę o młodym człowieku szczegółowych informacyj z Poznania, gdzie mam znajomości.

— Czy ojciec mu nie ufa? A może ten anonim...

— Nie, moja dziewczyno. Chcę tylko upewnić się komu oddam mój skarb najdroższy — moją córkę. A ten anonim zawiera głupie oszczerstwo i wcale nie zachwiał mego zaufania do pana Donieckiego. Jest on uczciwym młodzieńcem, a ja szanuję go za jego prawy charakter, stałość poglądów i szczerość...

— Dziękuję tatce — uradowana Janka rzuciła się ojcu na szyję i ucałowała go serdecznie.

— Czy to za pana Zdzisława? — zapytał, spoglądając na nią uśmiechnięty.

Dziewczyna się zarumieniła.

— Tak. To było za niego, a to... odemnie — i ucałowała ojca w drugi policzek.

Pan Krański przygarnął ją do siebie i pocałował w gorące czoło.

Janka była już w drzwiach, gdy widocznie coś sobie przypomniawszy, naraz zawróciła.

— Ojczulek pozwoli mi zabrać ten papier? — zapytała, biorąc z biurka anonim.

— Na co? Wrzucę go w ogień.

— Uczynię to sama, ale przed tem przyda mi się jeszcze...

Wybiegła z gabinetu, zostawiwszy ojca zastanawiającego się nad tem, do czego może dziewczynie przydać się anonim...

Idąc korytarzem, Janka raz jeszcze wpatrzyła się w pismo. Kto to mógł napisać?... Usiłowała zebrać myśli, ale te mieszały się bezustannie. To jedynie wiedziała, że ona i Zdzisław muszą mieć jakiegoś wroga, który przeciw nim knuje podstępnie podły spisek.

Nie zdążyła schować anonimu, gdy natknęła się na — Donieckiego.

Rozdział IX.

KTO INTRYGUJE?

Zdzisław widział papier w ręku Janki i zauważył ruch, jakim ukryła go poza siebie. Przystąpił do zarumienionej dziewczyny.

— Przepraszam panią — rzekł — że nagabuję ją na korytarzu, ale krążę tu już kilkanaście minut w oczekiwaniu za panią. Czy pani może mi poświęcić chwil kilka?

Jankę uderzył bardzo poważny ton jego głosu, przy tem zauważyła, że ma minę jakby zmartwioną.

— Wie pan — zaśmiała się — jest pan dzisiaj strasznie poważny, prawie surowy, a z tem panu wcale nie do twarzy.

Zmierzył ją badawczym wzrokiem.

— Mam powody po temu, aby być takim, jakim jestem.

— Czyż naprawdę... — zaśmiała się. — Ciekawam jakie?

— Pani powinna wiedzieć.

— Ja?...

— Panno Janeczko — rzekł smutnie. — Muszę koniecznie zamienić z panią kilka słówek. Może staniemy sobie w tej framudze okiennej?

— Tak sami? To może być niebezpieczne. Boję się pana.

— ?... ?!...

— Bo podobno pan jest bardzo niebezpiecznym donżuanem — dodała z dobrze udaną powagą.

Zdzisławowi krew uderzyła do głowy. Spojrzał na Jankę wzrokiem, w którym był tak straszny wyrzut, że dziewczynie drgnęło serce. Widziała, że w jego oczach zabłysły iskierki, których u niego nigdy, nigdy jeszcze nie dostrzegła — iskierki wschodzącej burzy.

— Och, ja żartuję tylko — zaśmiała się rozbrajająco. — A pan to zaraz myśli, że to na serio. Ale co mi pan chciał powiedzieć?

Spojrzenie jego wyrazistych oczu zmieszało ją. Bez oporu pozwoliła pociągnąć się do okna.

(Ciąg dalszy na str. 875)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

JAK NAJCHĘTNIEJ

„Dzina". „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło" — mówi przysłowie. Niech więc Pani „Dzino", nie żałuje, że w życiu Pani nic się nie zmieniło, że znowu jest tak, jak było dawniej. Ja wierzę, że nie ominie Pani swego przeznaczenia i znajdzie w życiu to, czego gorąco pragnie. Jak najserdeczniej i jak najchętniej odpowiem Pani na każdy list, dlatego, proszę, niech Pani pisze do mnie ilekroć będzie Pani smutno i źle.

(Adres, podany w liście Pani, zgadza się z wymienionym pseudonimem).

HALLO!

„Wesoła Iruta z Bydgoszczy". Grono nasze powiększyło się znowu o jedną wesołą i sympatyczną istotkę — Bydgoszczankę. Niewątpliwie dużo panów i pań zainteresuje się tą nową sympatyczką, podaję więc niżej Jej charakterystykę: ciemnowłosa, ciemnooka sportsmenka, wielka miłośniczka przyrody, tańca i śpiewu. W liście swym do mnie, przeznaczyła także kilka słów dla sympatyków:

„Hallo! „Jadźko z Kujaw", „Biała Uajali" „Blondynie w mundurku", „Lwie Morski" „Nieznany Poeto"! — zasyłam Wam moc pozdrowień i bardzo proszę o listy".

DO WIADOMOŚCI ZAINTERESOWANYCH

„Śmieszka z Pomorza" nadesłała do „Krainy" tych kilka słów: „Hallo! Hallo! Tu „Śmieszka z Pomorza"! Przesyłam serdecznie podziękowanie tym wszystkim, którzy skreślili mi tyle miłych i sympatycznych słów.

„Tricotrinowi" dziękuję za miły liścik z Gdyni.

„Fakira" proszę o wierszyk, wzamian przesyłam Mu uśmiech szczęścia.

„Białej Uajali" ślę moc całusów i uznanie za śliczne wierszyki.

„Gosposiu"! Zainteresowałam się Tobą! Jeżeli chcesz możemy nawiązać z sobą korespondencję, ale napisz, proszę, do mnie pierwsza".

BRAK WRAŻEŃ

„Helena". Dziękuję Pani za wszystkie miłe słowa i zamieszczam niżej Pani liścik:

„Mieszkam w cich j, piękn j ŀśnic ówce. Dni płyną mi tutaj szybko, jak szare, jesienne obłoczki. Chciałabym stąd wyfrunąć w daleki, szeroki świat, ale pewne sprawy przykuły mnie do tego milutkiego zacisza. Muszę tutaj pozostać długo, długo. Aby jednak urozmaicić sobie trochę życie i przysporzyć nieco wrażeń, zwracam się do Sympatyków „Krainy", szczególnie mieszkańców wielkich, gwarnych miast, aby zechcieli nawiązać ze mną korespondencję. Wzamian prześlę im moc słów, cichych i słodkich, jak szum sosen i starych dębów.

Jestem młodą, przystojną szatynką — po maturze. Tyle o sobie! Czekam na pierwszy odzew!"

W POSZUKIWANIU ŻYCZLIWEJ DUSZY

„Cyganka o smętnych oczach". Z dalekiej, małej wioseczki otrzymałam następujący apel:

„Mieszkam z dala od gwaru miasta, wśród lasów i pól. Nie posiadam tutaj żadnej życzliwej i oddanej duszy, chciałabym więc znaleźć ją w gronie Sympatyczek „Krainy". Piszcie do mnie, Drogie Dziewczynki, a odpowiem Wam jak najserdeczniej".

TRUDNO...

„Iwaś z Pałuk". W cichej wiosce pałuckiej, nad brzegiem jeziora, mieszka „Iwaś z Pałuk", nowy Sympatyk „Krainy". W liście swym do mnie pisze, że ogromnie lubi przejażdżki łodzią oraz... „słodkie dziewczątka".

Trudno pogniewać się za tę wielką szczerość na „Iwasia", chyba lepiej, za moim przykładem, uśmiechnąć się do niego, i przesłać Mu kilka miłych słów.

OTRZYMA PANI W NASZEJ ADMINISTRACJI

„Czarnulka z pod Mielżyna". Powieści: „Pani Gabrynia" i „Zatrzymany Zegar" otrzyma Pani w każdej większej księgarni. Co do reszty powieści wymienionych przez Panią, to wiem, że nie wyszły one jako książki, ale były drukowane w odcinkach w „Moich Powieściach". Wszystkie numery z odcinkami, może Pani nabyć w naszej administracji.

Na zakończenie przesyłam Pani siostrzane uściski i z całą przyjemnością oddaję dopisek Pani do przedruku:

„Małej Konwalijce" serdecznie dziękuję za śliczny prezent — jestem nim zachwycona. Całuję buzię i pozdrawiam! Moc serdeczności ślę: „Białej Uajali" — „Sportsmence" — „Manoli" — „Dzince" — „Dumce" — „Wirrytowi" i „Te-Em".



„Blanka" patrzy poważnie i ciekawie na świat i marzy o tem, aby cokolwiek w życiu uczyni, było zawsze czyste i dobre.

UŚMIECHNIE SIĘ I ROZSŁONECZNI CAŁA „KRAINA"

„Uśmiech Poranku". Nadeszła szara jesień, a wraz z nią i smutniejsze myśli — to prawda, Droga Dziewczynko, ale nie powinnaś poddawać się tym myślom. Tyś młoda i zdrowa, a więc i szczęśliwa. Szczęście to nie słoneczna pogoda za oknami, ale pogoda w duszy. Pierwsza nie zależy od nas, ale od sił wyższych, nadprzyrodzonych, druga zaś jedynie od nas, nie powinno więc jej zabraknąć w naszych sercach. Wszak prawda, Kochanie? Pisz do mnie często i wierz mi, że „ta pani", o której piszesz, jest ci bardzo życzliwa i zawsze chętnie odbiera Twoje liściki.

Dopisek zamieszczam. Napewno uśmiechnie się i rozsłoneczni od niego cała „Kraina".

„Karinie" i Czarnulce z Grudziądza" — zasyłam moc całusów.

Po tuznie uśmiechów ślę: „Uśmiechowi Lata" — „Słonecznemu Uśmiechowi" i „Jesiennemu Uśmiechowi".

HALLO TORUŃ!

Torunianka - Toruniacy! Skomunikujcie się ze mną! W długie zimowe wieczory mam zamiar zaprosić Was do swego „milieu", abyś spędzić wspólnie z Wami miłe chwile przy herbatce i ciekawych pogawędkach. Więc piszcie śmiało — nie zwlekając. Listy proszę kierować na poste restante, Toruń 1, dla okazicielki legitymacji nr. 12.394 W.

BRAKUJĄCE NUMERY OTRZYMA PAN W NASZEJ ADMINISTRACJI

„Bolek z Bydgoszczy". Wstęp listu Pana ucieszył mnie szczególnie, gdyż dowiedziałam się z niego, że znalazł Pan za mojem pośrednictwem szczerego i oddanego przyjaciela.

Opis wrażeń, wywiezionych z nad morza, nasunął mi wiele wspomnień. Morze kocham podobnie, jak i Pan, i zawsze, specjalnie chętnie, czytam listy moich Sympatyków, w których znajduję coś o morzu.

Wszystkie brakujące numery „Moich Powieści" otrzyma Pan w naszej administracji. Cena pojedyńczego egzemplarza wynosi 30 groszy.

A teraz komunikaty Pana:

„Wesoły Słowiku"! Dlaczego zamilkłeś? Czy zląkłeś się zimy i pofrunąłeś daleko od nas?

„Złotowłosa Halusiu"! Brak mi narazie odwagi, może napiszę w przyszłości.

„Reniu"! Kiedy zdecyduje się Pani do mnie napisać?

„Szara Dziewczynko z Bydgoszczy"! O ile się nie mylę znam Panią. Czy przypomina sobie Pani letnią zabawę w Opławcu i blondyna, który zamęczał Panią tańcem?

„Wikon"! Ślę Panu dużo pozdrowień z Bydgoszczy. Czy to Panu wystarczy?"

LIST CZTERECH DZIEWCZĄT

Wesoła Czwórka". W tych dniach odebrałam od czterech miłych dziewczynek również miły list. Myślę, że będzie się ogólnie podobał.

„Zapadł wieczór. Ludzie dawno już zasnęli. Wokół ogromna cisza, tylko od czasu do czasu przerywa ją głuche naszczekiwanie psów.

Siedzimy w czwórkę, w pokoju małego dworku na wzgórzu i piszemy wspólnie, ten list. Pragniemy wszystkie należeć do „Krainy" i zespolić się myślami z Sympatykami. Przypuszczamy, że uda się nam to. Oto „portrety" dwu z nas, bo reszta — należymy już do „Krainy":

„Wesoły Łobuz z pod Działdowa": wysoka blondynka o niebieskich oczach, marzycielka o czułym, kochającym serduszku, miłośniczka konnej jazdy.

„Wala z Bydgoszczy": blondynka o długich warkoczach, szczera i zawsze poważna.

Trzecia z nas: „Zaczarowana Cyganeczka". zapytuje się „Białego Kruka", czy nie zechciałby napisać do niej kilka słów? Dla Jadzi i Moniki W. z Kowalewa przesyła śliczne pa! oraz całusów 122.

Hallo! „Panie Ryszardzie"! Domysły moje nie były błędne. Za rychło wróciłeś z P. Nie wiedziałam, że w P. wpadnie ktoś na taki pomysł. Chyba domyślasz się o co mi chodz? Życzę dalszego powodzenia!

Czwarta z nas — „Piękna Cyganeczka" dziękuje „Dzikusce z Abisynji" i „Czytelniczce z pod Grudziądza" za pozdrowienia. Tak samo „Turowi" i „Figlarzowi z Borów Tucholskich". Andzi Z. z Bydgoszczy przesyła szczery uścisk dłoni i Trudzi K. z Grudziądza miłe pa!

Na zakończenie przesyłamy gremialnie całej „Rodzince" moc pozdrowień. Osobne dla Sympatyków z okolic Działdowa, Grudziądza i Bydgoszczy. Dla „Tamary", „Czarnulki z Grudziądza" — „Iksuni z Grudziądza" — „Czytelniczki z pod Grudziądza" — „Tęsknoty z Działdowa" — „Dziewczynki z Bydgoszczy" — „Nieszczęśliwej" — „Serca Stepów" i „Smutnej Czwórki z Tuczna" załączamy uścisk dłoni".

A teraz jeszcze kilka słów dla „Wesołej Czwórki" ode mnie: na fotografię czekam z niecierpliwością. Za zgodą Pań umieszczę ją chętnie. Pseudonimy, o ile jest jakiś ważny powód, mogą oczywiście Panie zmienić. Co do wymienionego adresu, muszę dać odpowiedź negatywną. Pozdrawiam Panie jak najserdeczniej!

PROŚBIE CHĘTNIE CZYNIĘ ZADOŚĆ

„Porporato". List zaraz wysłałam. Prośbie Pana chętnie czynię zadość i przesyłam w imieniu Pana pozdrowienia dla: „Iwonki", „Miki — milutkiego urwisa", „Maruty", „Blanki" i „Tam-Ryszarda".

ZAWIADOMIENIE

„Roztańczona — rozśpiewana Pomorzanka" zawiadamia „Leniuszka", że list wysłała pod wymienionym adresem.

„KOBIETĘ WYOBRAŻAM SOBIE JAKO PRZYJACIELA"

„Marek". Prośbę Pana muszę jeszcze rozważyć, gdyż spełniając ją, mogłabym narazić się większości sympatyków, którzy są za tem, abym pozostała nadal tajemniczą. Istnieje jednak możliwość, że kiedyś pragnienie Pana spełni się.
Podoba mi się ustosunkowanie Pana do ludzi, a zwłaszcza do kobiet. Niżej zamieszczam w skróceniu list Pana, gdyż wszyscy go sobie chętnie przeczytają, a może ktoś odpowie na niego miłym echem. Oto słowa Pana:
„Kobietę wyobrażam sobie jako przyjaciela, do którego można wszystko mówić. Musi posiadać szerokie horyzonty i dużą inteligencję.
Chciałbym gorąco napotkać w życiu taką kobietę — przyjaciela. Czy napotkam szybko — nie wiem, bo zrozumieć mnie jest trudno. Poza tym, jeżeli chodzi o przyjaciół, to zawsze kieruję się staro - rzymską formułą: „gdzie ty Brutusie, tam ja Kaja", ale potrafię być wdzięczny, serdeczny i zawsze uczciwy...
Bardzo serdecznie pozdrawiam „Antygonę" i Czytelników „Moich Powieści" z okolic Szamotuł i Wronek".

„ZAINTERESOWAŁ MNIE „TATERNIK"

„Urszula — Pomorzanka". Już na wstępie poczułam do Pani dużo sympatii — myślę, że przyjaźń nasza nawiąże się szczęśliwie i będzie trwała. Ściskam Panią serdecznie i w celu bliższego zapoznania Pani z Sympatykami „Krainy" oddaję list Pani do przedruku:
„Dopiero od roku przebywam na wsi u Rodziców, przedtem uczęszczałam w mieście do szkół. Brak mi tutaj zupełnie bratnich dusz, dlatego korzystam z przysługujących mi praw i wstępuję do „Krainy" z nadzieją, że i do mnie skreśli ktoś kilka słów.
Skończyłam już 21 rok życia. Jestem ciemną blondynką o niebieskich oczach i smutnej twarzyczce. Mieszkam w cichej, malowniczo położonej wiosce.
Zainteresował mnie „Taternik", jednakże zastanowił mnie jego list, w którym pisze, że lubi tylko ładne dziewczynki. Czyż walory duchowe nie znaczą więcej, niż piękność? Może skreśli Pan do mnie kilka słów — pociąga mnie bowiem dyskusja z Panem".

PRZEPIS BYŁ W OSTATNIM NUMERZE

„Zbłąkana Gwiazda". Z nadesłanych wierszyków przeznaczam do druku: „Pierwsza miłość" i „Pamiętaj o mnie". Reszta wierszy jest bardzo miła, ale posiada szereg niedociągnięć.
Przepis na kędzierzawienie włosów był podany w ostatnim numerze „Moich Powieści" — zapewnie już Pani z niego skorzystała?
Proszę Panią, o dalszą pamięć i jak najchętniej przedrukowuję część Pani liściku.
„Akri" i „Uśmiech Poranku"! Dziękuję Wam, Milutkie Dziewczynki, za przesłane mi kiedyś pozdrowienia, które odwzajemniam serdecznymi uściskami".
„Dunce" i „Wirrytowi" — mocny uścisk dłoni!
„Hallo! Panie E. Kulpa! Zapytuję o powód milczenia?"

APEL ZAMIESZCZAM CHĘTNIE

„Morowa Dziewczynka". W „Krainie" nie istnieją żadne różnice sfer, jak to sobie Pani wyobraża, przeciwnie, panuje wielka demokracja. Dziękuję Pani za miłe słowa, skierowane pod adresem „Moich Powieści" i chętnie zamieszczam apel Pani:
„Czy znajdę w „Krainie Szczerości" bratnią duszę? Mieszkam na wsi, z dala od ludzi i brak mi ogromnie towarzystwa. Jestem wysoką blondynką o niebieskich, figlarnych oczach i ślicznych rumieńcach na buzi. Kocham wszystko, co wzniosłe i szlachetne".

DZIĘKUJĘ!

„Narcyz". Za fotografię — dziękuję Panu! Zamieściłam ją najpierw w „Krainie", a następnie w specjalnym albumie, w którym gruppuję najmilsze zdjęcia moich Sympatyków. Za pozdrowienia z Strzelna — bardzo Panu dziękuję!

WYMIANA MYŚLI

„Student z Grudziądza" pisze, że przepada za muzyką, kinem i... miłemi paniami. Poza tym ogromnie lubi wycieczki i korespondować. Pragnie dlatego nawiązać z kimś wymianę myśli a najchętniej z jakąś koleżanką „po fachu".

HALLO! „LAKONICZKU"!

„Owambo". „Strasznej prośbie" oczywiście uczyniłam zadość. Domysły Pani zgadzają się z prawdą — winszuję świetnej intuicji! Dopisek Pani zamieszczam:
„Hallo! „Lakoniczku"! Skreśl, proszę, do mnie kilka słów a zrewanżuję się długim listem".

PRAGNĘŁABYM...

„Słoneczny Uśmiech". Pragnęłabym aby nadzieje Pani ziściły się. Za słoneczny, piękny uśmiech — bardzo Pani dziękuję!

SERDECZNE POZDROWIENIA

„Kapłanka Wschodu" przesyła serdeczne pozdrowienia: „Krainie", „Przedwiośniu", „M. Rysi" i „Oryginałowi".

CZEKAM NIECIERPLIWIE

„Biała Uajali". Listy — przekazałam. Zamieniam uściski z Panią i czekam niecierpliwie na ten zapowiedziany długi list.

ODEBRAŁAM

„Szczęsny". List, oraz bardzo pięknie wykonane łamigłówki — odebrałam. Dziękuję! Ucieszyła mnie zapowiedź dłuższego listu — czekam na niego z niecierpliwością!

SPROSTOWAŁAM

„Człowiek z ludu". Porównanie wypadło prześlicznie — jestem pełna uznania dla Pana. Adres — sprostowałam. Łączę moc pozdrowień!

Teczka Wujka Janusza

RADZĘ PISAĆ PROŚCIEJ

„Mifras". Wiersze trochę chaotyczne i za mało pogłębione. Radzę Panu pisać prościej. Serdecznie Pana pozdrawiam i czekam na rezultat mej krytyki.

ZGODNIE Z ŻYCZENIEM ZAMIESZCZĘ W GRUDNIU

„Blanka". „Panuje już niepodzielnie wszędzie jesień. Jesień z jednej strony piękna, strojna, złocąca lasy i pola, zaś z drugiej strony smutna, melancholijna, niosąca z sobą smutek i żal i jakiś tępy ból. Kocham jedną i drugą. Wieczorem, kiedy smutno, słotno i zimno, a wiatr tylko cicho łka, czuję się tak samotną, a jednak kocham te smutne jesienne wieczory bo przecież nietylko słońce i radość człowiekowi potrzebne, czasem trzeba i smutku i ciszy tego, co się za tem kryje. Te ponure, słotne dni i wieczory przynoszą z sobą wspomnienia, dawnych dni"...
Powyższą część listu Pani, pozwoliłem sobie przedrukować, pomimo, że nie posiadałem w tym kierunku żadnego upoważnienia. Myśli Pani są tak ładne i nastrojowe, że napewno każdy czytający je, dostroi do nich swoją duszę i doznna wielu wzruszeń.
Wierszyk: „Wróci szczęście", zgodnie z życzeniem Pani, zamieszczę w numerze grudniowym. Z dalszych wierszy przeznaczyłem do druku: „Stracone szczęście" i „Przyjdź". Żegnam Panią serdecznemi pozdrowieniami.

CZY BĘDZIE PANI POTRAFIŁA?

„Psychoanaliza". Obok książki kucharskiej może Pani z całym spokojem studjować i poezje. Nowoczesna, mądra kobieta, potrafi jedno z drugiem cudownie pogodzić, a więc i Pani napewno będzie potrafiła.
Wierszyk: „Żołnierze z cyny" bardzo milutki. Do „Moich Powieści" jednakże nie nadaje się, prędzej do jakiegoś pisma młodzieżowego. Następny — „Szkarłatne liście" — przeznaczam do druku. „Dwa cienie" — powędrowały do kosza. To wszystko! Serdecznie ściskam łapki i na zakończenie oddaję jeszcze post scriptum z listu Pani do druku:
„Załączam moc pozdrowień dla „Maleńkiej Dzidzi". Może napiszesz do mnie, Maleńka, promienny liścik? „Puerowi" i „Jurowi" ślę moc serdeczności i uśmiecham się do Nich".

SZKARŁATNE LIŚCIE

Poświęcam „Erosowi".

Szkarłatne liście głucho szeleszczą,
Łzą ociekają...
I nucą rzewną, smętną, złowieszczą,
Melodję gajom.

Wiem, że nie prędko mi znów obwieszczą,
Że zmartwychwstają,
A gdy opadną złocistym deszczem —
Łzy me odtają.

Codzień tak liście głucho szeleszczą,
Rosą ściekają
I zasyłają złociste wieści
Zastygłym gajom.

„Psychoanaliza".

POCIESZAM SIĘ

„O—O—O". Współpracę Pana przyjmuję jak najchętniej. Ostatnie wierszyki zawiodły, ale pocieszam się, że następne będą już lepsze. Czekam na nie i ślę Panu szczery uścisk dłoni.

SŁABA TECHNIKA

„Tarzan". Myśli w wierszyku są bardzo piękne, ale technika dość słaba. Może spróbuje napisać Pan coś innego? Łączę miłe pozdrowienia!

STWIERDZAM Z PRZYJEMNOŚCIĄ

„Telimena". Jeszcze nie, ale stwierdzam z przyjemnością, że poszła już Pani, w swej pracy nad sobą, daleko naprzód. Życzę Pani dalszej pomyślności i odwzajemniam serdeczne zakończenie listu Pani mocnym uściskiem dłoni.

ZBYT DUŻO FANTAZJI

Franciszek". Nadesłana przez Pana humoreska posiada zbyt dużo fantazji, a miejscami jest nawet lekko przesarżowana. Do druku nie nadaje się, bo nawet w humoresce musi być jakaś prawda życiowa. Proszę Pana o nadesłanie innych utworów — może będę mógł z nich coś wybrać do druku.
Dziękuję Panu za żywe zainteresowanie się „Mojemi Powieściami" i serdecznie Pana pozdrawiam.

FOTOGRAFIĘ — ZAMIESZCZĘ

P. M. Ch. Osieczno. Treść listu Pana poruszyła mnie do głębi. Przesyłam Panu, Drogi Przyjacielu, wyrazy współczucia i życzenia jak najszybszego powrotu do zdrowia.
Fotografię — zamieszczę. Wierszyki słabe, poczekam na inne.
Łączę miłe pozdrowienia i oddaję do przedruku post scriptum Pana:
„Serdeczne pozdrowienia ślę p. Hance Grzegorzewskiej, „Białej Uajali" — „Samotnej, Polnej Strokrotce" — „Nieszczęśliwej" — p. st. sierż. M. Cebelli z Grudziądza, p. por. Z. Brewińskiemu, p. ppor. Kałużnemu z Grudziądza p. kapr. W. Formelli z G. „Anitence" za uśmiech promienny, p. Z. Ogrodowczykównie z Poznania, kuzynce — Zosi Zdrojewskiej z S. i „Dzińce".

Raj kobiet



Mylne jest zdanie, że najróżniejsze resztki materiałów pozostałych od naszych sukienek przydać się już nie mogą. Często widzimy fasony sukienek, które przybrane resztkami w miłych deseniach — tworzą śliczną całość. Również do przybrań zastosować można resztki futerka lub imitacyj futra. Na przykład płaszczyk przybrany długim pasem na plecach, ukośnie ściętymi mankietami i szerokim pasem u dołu z imitacji futra doskonale się prezentuje. Następny model ma kołnierz, pasek i marszczone o modnym kroju rękawy wykonane z tłoczonego aksamitu. Dwie dalsze formy sukienek połączone są z dwóch materiałów. Sukienka wieczorowa przerobiona ze zeszłorocznej ma wstawiony pas z materiału o kilka tonów ciemniejszego od całej sukienki. Sukieneczka sportowa ozdobiona resztką materiału w kratę.

Emerytury dla starych panien

W Anglji podobno wszystkie niezamężne kobiety, począwszy od 55 roku życia otrzymać mają emerytury państwowe, o ile nie mają innych środków utrzymania. Akcja zmierzająca do przeprowadzenia tego planu, została zapoczątkowana przez kobiety, z lady Fischer-Smith na czele.

Narazie w ruchu tym bierze udział 40.000 kobiet, ale dzięki umiejętnej propagandzie szerzy on się bardzo szybko i zatacza coraz szersze kręgi. Lady Fischer Smith traktuje posłannictwo swoje bardzo poważnie i zdołała już nawet pozyskać dla swej idei 150 polityków, wśród nich kilku posłów, którzy gotowi są poprzeć ją w parlamencie.

Już w najbliższym czasie ma być postawiony odpowiedni wniosek w Izbie Gmin.

Gdyby doszło do zrealizowania postulatów, wysuniętych przez Lady Fischer-Smith i jej zwolenniczki, skarb państwa musiałby na pensje dla starych panien przeznaczyć sumę około 4 milionów rocznie.

Ani chuda, ani tłusta — w miarę

Jedno z kobiecych czasopism paryskich ogłosiło ankietę na temat: „Jaka kobieta najbardziej podoba się mężczyźnie?"

Posypało się mnóstwo odpowiedzi niemal z całej Europy. Zwolennicy i zwolenniczki zwiewnej sylwetki niewieściej przytaczali sterty argumentów na udowodnienie, iż tylko wysmukła wężowa linja stylu Marleny Dietrich lub Grety Garbo może przykuć do siebie uwagę i wzniecić uczucie w sercu mężczyzny.

Atoli wcale niemniejsza była liczba entuzjastów, którzy z całą stanowczością twierdzili, że pulchne, acz nie nazbyt pełne kształty, jedynie mogą stanowić ideał prawdziwej kobiety.

Najbardziej charakterystyczne są dwie odpowiedzi, a więc zdanie słynnego Jackue'a Feydera reżysera filmowego, twórcy niezapomnianej „Atlantydy" oraz Yvonne Printemps, najsławniejszej artystki scen paryskich.

— Moim ideałem — mówi. Feyder jest kobieta silna, zdrowa i niepozbawiona niewieścich kształtów.

Naturalnie, trzeba przeprowadzić linię demarkacyjną pomiędzy kobietą, plastycznie zarysowaną i pełną-kobietą.

Kobiety głodzące się, żeby podobać się mężczyznom popełniają błąd, najlepszym zaś tego dowodem jest wielkie powodzenie najnowszej gwiazdy amerykańskiej Mae West, która zrobiła prawdziwą sensację w filmie „Lady Lou". Waży ona siedemdziesiąt kilo, a pomimo to nie jest ona tłusta... Przeciwnie, jest ona prześlicznie zbudowana, tchnąca zdrowiem i siłą, czem ilustruje doskonale wszystkie powaby kobiecego ciała.

Niemniej kategoryczną, acz znacznie zwięźlejszą odpowiedź daje Yvonne Printemps: — Muszę przyznać, że nie znoszę chudego ciała. Kobieta w typie „garconne" jest dla mnie czemś dziwacznem. Nigdy nie przyszła mi myśl obcięcia włosów! Kobieta zdaniem mojem powinna zostać kobietą i starać się nietylko nie zacierać, ale podkreślać cechy właściwe swej płci. Powinna nie być ani chuda, ani zbyt tłusta — ale w miarę...

Napewno nie wiecie, że...

Na całej kuli ziemskiej ilość ludzi wynosi 2,5 miljarda. Mimo braku miejsca na ziemi przeludnienie nie grozi, ponieważ naogół biorąc, w ostatnich zwłaszcza czasach, zmniejszył się przyrost ludności mniej więcej we wszystkich krajach.

—o—

Pewien badacz obliczył ile energji zużywa człowiek przy wdrapywaniu się na Giewont. Z obliczenia tego wynika, że łączna praca wszystkich mięśni przy wdrapywaniu się na górę równa się, okrągło biorąc, 340.000 kilogramometrów. Przy 75 kg wagi — mięsień sercowy rozwija energji 33 kilogramometry, mięśnie piersiowe 990 kilogramometrów, mięśnie ramion 25.000, mięśnie nóg 18 000 kgmtr.

—o—

Fenomenalnym narkotykiem jest „djalon" syntetyczny, należący do grupy kwasów horbiturycznych. Preparat ten po 24 godzinach nie pozostawia po sobie najmniejszych śladów zatrucia i dlatego otoczony jest nadzwyczajnemi zarządzeniami ostrożności w stosowaniu przez lekarzy.

—o—

Do najpiękniejszych okazów ryb należy gatunek t. zw. „szklanych", które są do tego stopnia przezroczyste, że można widzieć dokładnie cały jej wewnętrzny organizm. Jedną z najbardziej krwiożerczych ryb jest maleńka rybka „piranhas" napadająca na ofiarę gromadnie. Gromada tych rybek potrafi obgryźć zwierzę lub człowieka do samych kości.

—o—

Dyrektor laboratorium fizyczno-chemicznego w Tokio wynalazł karabin maszynowy, który ma oddawać od 10 do 60 tysięcy wystrzałów na minutę Karabin nie potrzebuje prochu i nie sprawia huku: siła potrzebna na wysyłanie kul pochodzi z wprowadzonego w ruch koła. Doświadczenia z nową tą bronią dały wyniki zadawalające.

—o—

W południowej Ameryce rośnie pewna roślina „hora crepitana". Właściwością jej jest to, że może eksplodować z wielką siłą. Staje się to wtedy, kiedy owoc tej rośliny wysycha, i rozpada się na części. Siła wybuchu może być porównana do wystrzału rewolwerowego.

—o—

Rodzaj środków wybuchowych w obronie własnej spotyka się u polipów niektórych gatunków. Posiadają one pewne komórki, w których zebrana jest trucizna; komórki te są otoczone błonką, i gdy tylko jakiś ostry przedmiot dotknie się błonki, pęka ona natychmiast, a ukryte żądło wylatuje z impetem i godzi we wroga. Żądło to ma kształt kuli sy.

DOBRA GOSPODYNI

Tort czekoladowy. Pół kg oparzonych i zmielonych na młynku migdałów, pół laseczki wanilji, pół kg utartej czekolady, z której 4 tabliczki pozostawić na lukier, 10 żółtek ugotowanych na twardo i przefasowanych przez sito, pół kg miałkiego cukru i 2 surowe jaja, wszystko razem ucierać wałkiem w donicy, aż się zrobi jednolita masa. Przedzielić ją na dwie równe części, włożyć w dwie tortownice i upiec w miernie ciepłym piecu. Po przestygnięciu



Z rąk mamusi wszystko najlepiej smakuje...

przełożyć masę z ćwierć kg oparzonych migdałów zmielonych na młynku, ćwierć kg cukru, sok z jednej cytryny i parę łyżek gęstej, słodkiej śmietanki. Oblukrować go lukrem czekoladowym.

Tort pomarańczowy. 35 dkg cukru w kawałkach otrzeć o skórkę z 2 pomarańcz, włożyć do rondelka, zalać pół szklanką wody, wydusić sok z tych samych pomarańcz i ugotować na gęsty syrop, a potem wlać do donicy i ucierać wałkiem. Gdy zbieleje, dodać 12 żółtek ubitych wpierw z ćwierć kg cukru, ćwierć kg oparzonych migdałów zmielonych na młynku i dalej ucierać. Wkońcu wymieszać z pianą z 7 białek i 3 łyżkami tartej przesianej bułki, wlać do tortownicy wysmarowanej masłem i wysypanej bułką i piec w średnim piecu. Po wystygnięciu polukrować lukrem pomadkowym, pomarańczowym z dodaniem araku.

Skromny tort w kratki. Do 21 dkg mąki wsypać łyżeczkę kawową proszku Oetkera, rozrabiać ją z 14 dkg masła lub drobnej margaryny, dodać 7 dkg cukru, 4 dkg obranych tartych migdałów lub orzechów laskowych, jedno jajko i trochę soku z cytryny. Z tego ugnieść ciasto i zawinąwszy w płótno, zostawić w zimnym miejscu na pół godziny. Rozdzielić następnie ciasto na 4 równe części, z których dwie piec należy w tej samej, zawsze starannie masłem wysmarowanej tortownicy. Czwartą część pokroić w kawałki uformować podłużne wałki i ułożyć w kształcie kraty, którą poprzednio posmarować jajkiem dobrze rozbitem, aby się wałki trzymały. Gdy i ta część spieczona, wyjąć ją bardzo ostrożnie, a po wystygnięciu układać na każdej marmeladę, uważając, by każda była na wierzchu. Zagłębione kraty napełnia się również marmeladą.

Świat i życie

Jeszcze są Indianie

(Korespondencja własna).

Gdy wyjechaliśmy z Kolorado w kierunku Nowego Meksyku, dała się odczuć przedewszystkiem ogromna zmiana w przyrodzie. Miało się uczucie czegoś odrębnego, obcego. Może był to skutek szalonej jazdy autem, w górach skalistych, których dziwaczne kształty tworzą jakieś fantastyczne miasta z wężami, świątyniami, fortecami i sfinksami o lwich głowach.

Spotykani po drodze Meksykańczycy w wielkich kapeluszach cowboyów, wyglądali jakoś niesamowicie w swych łachmanach z czarnemi od słońca twarzami i iskrzącemi się oczyma, zwłaszcza, że przybywaliśmy z miejscowości, zamieszkiwanych przez białych o jasnych oczach. Niekiedy znowu natrafialiśmy na jakieś rozklekotane wozy, zaprzężone w chude szkapy, wiozące całe rodziny, mówiące narzeczem, zbliżonym do hiszpańskiego.

W miarę, jak posuwaliśmy się wgłąb kraju, zdawało się, że cywilizacja amerykańska słabnie. Stan ten wywiera wrażenie kolonji raczej, niż części państwa. Drogi stają się coraz gorsze, a wreszcie ukazują się Indianie. Cery ich złotożółte, czarne lśniące włosy opadają do oczu prostą grzywą, z tyłu warkocz zawiązany wstążką, zupełnie jak w epoce Ludwika XIV we Francji. Ubrani w dość grube materiały o barwach jaskrawych, obuci w mokosyny, mało przypominają owych Indian z obrazków nawpół nagich z pióropuszami na głowach, palących fajkę przy ognisku w dżungli.

Indianie nie wykazują zewnętrznie wielkich różnic pomiędzy płcią męską i żeńską, gdyż mężczyźni wyrywają sobie włosy z brody i wąsów, czeszą się zupełnie jednakowo i noszą jednakowe pstrokate szaty, tak, że o dwa kroki od nich trudno jest poznać, czy ma się przed sobą mężczyznę, czy też kobietę.

W starszym wieku kobiety są bardzo otyłe, jak kobiety wschodu.

Jednostajność ubioru nie znaczy jeszcze, by mężczyźni zarzucili orle pióra Indian, znane na całym świecie. Wobec tego, że raz na zawsze skończyły się dla nich wszelkie wojny, używają tych ozdób wojennych tylko podczas pewnych uroczystości lub tańców. Zdarzyło się też nam widzieć wodzów indyjskich w pełnym rynsztunku bojowym z piórami nietylko na głowie, ale na całym płaszczu czerwonej barwy, który wlókł się w kurzu majestatycznie, jak olbrzymie skrzydło.

Taos, pierwszy etap naszej podróży naznaczony jest już wybitnym piętnem egzotyzmu. Przemysł kolorowy stara się tutaj jak i wszędzie, przystosować do stylu kraju. W każdym — chociażby najmniejszym zajeździe spotkać się można z architekturą i barwami Indian. Dookoła naszego hotelu włóczyło się kilka postaci o czarnoczerwonych twarzach owiniętych w białe szaty, jak widma. Byli to Indianie wynajęci dla zabawiania turystów.

Wieczorem dwaj z nich tańczyli w hallu jakiś dziki taniec, ku rozrywce gości.

Nazajutrz zwiedzaliśmy wioskę indyjską. Wszystkie zabudowania z różowego piaskowca, domy dziwaczne, jak w Afryce z tarasami ułożonemi jak stopnie. Na wyższe piętra dostać się można po zewnętrznych drabinach. Wnętrza są ciemne, bez mebli. Amerykę przypominają tylko metalowe siatki, strzegące od much i pudełka od konserw.

U wejścia do wioski wznosi się niewielki kościół z gliny. Indianie, przyjąwszy chrześcijaństwo, zachowali jednak swoich dawnych bogów i dawne wierzenia.

Dziwnie milczący, zamknięci i chłodni są ci Indianie w Taos — mężczyźni o wygolonych twarzach, kobiety otulone w brudne szale i nawet umorusane, oberwane dzieci. Ten ponury ich nastrój odbiera chęć jakiegokolwiek porozumienia się z nimi — patrzą dziwnie podejrzliwie i wrogo. J.J.

Ze świata

Światowa wystawa szlachetnych kamieni

Z okazji 25-lecia giełdy diamentowej w Amsterdamie — w bieżącym roku zostanie otwarta w tym mieście światowa wystawa kamieni szlachetnych. Na czas trwania tej oryginalnej wystawy — Amsterdam zamieni się na najbogatsze miasto świata. Do tej pory 164 firm zgłosiło swój akces — turysta zwiedzający wystawę będzie miał przegląd najsłynniejszych klejnotów na świecie. Specjaliści taksują wartość objektów, które będą wystawione w gablotkach na około 30 milionów dolarów. Między innymi jedna ze starych szlifierni amsterdamskich zareprezentuje krzyż, sporządzony z jednego olbrzymiego diamentu. Wartość tego krzyża oceniana jest na 100 tysięcy dolarów. Interesującym jest fakt, że komitet wystawy ustalił specjalne wymogi, którym muszą odpowiadać szlachetne kamienie, biorące udział w cytowanej wystawie. I tak np. żaden z kamieni nie może reprezentować mniejszej wartości niż 20 tysięcy dolarów!

CHWILA ZASTANOWIENIA

ARYTMOGRAF CHEMICZNY

Wstawiając na miejsca liczb i krzyżyków litery, ułożyć piętnaście nazw pierwiastków chemicznych, aby litery na miejscach krzyżyków dały nazwisko światowej sławy chemika.

1	2	+	3	4		
5	+	1	4	6		
7	+	8	9			
10	1	6	+	11	12	4
13	1	+	14			
15	16	+	17	7		
+	1	18	19			
7	+	14				
1	+	17	20	4		
2	+	6				
+	20	4	1			
11	+	17	3	17		
5	17	+	7	4	17	
4	12	13	+	3	11	
21	10	2	20	17		

Szarada

 uł. S. z K.

Pierwsze — litera, wzięta fonetycznie,
trzecie wspak i czwarte jest rzecz dawno znana
i ku rozrywce często używana.
Trzecie różne wody zamieszkuje licznie,
czwarte, drugie, trzecie, rośliną jest błotną,
Wszystko mieć nie jest rzeczą zdrowotną.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązanie należy nadsyłać do piątku, 27 listopada bież. roku.

Rozwiązanie zadań z nr. 45 „Moich Powieści": Konikówka: „Choćby twa dusza była spragniona i głodna, żadnej czary rozkoszy nie wychylaj do dna". — I. Kraszewski. Zagadka: Irena — arena.

Trafne rozwiązanie zadań nadesłali pp.: Ilona Wabińska — Skarszewy, Franciszek Jarzembowski — Unisław, Delila Pukropówna — Sierakowo, Małgorzata Świtalska — Żnin, „Mika", P. Gotlibowska — Starogard, Wacław Grochowski — Kleszczewo, Juljusz Maniński — Otwock. Ira Słomkówna — Płonków.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Ilonie Wabińskiej z Skarszew i Juljuszowi Manińskiemu z Otwocka.

Tadeusz Rawicki.

Samobójca

(Nowela)

Wicher uderzył w białe okna małego pałacyku, dzwoniąc po szybach kroplami wody.

W tejże chwili jasne płomienie świec pochyliły się i przyćmiły. Koszmarny cień położył się na białej karcie nut, na lśniących klawiszach fortepianu i na różowej twarzyczce młodej panienki.

Baśka momentalnie przestała grać. Jej palce zawisły nieruchomo nad klawiszami, a uszy łowiły subtelne echo walca, rozbiegłe w przestrzeni pokoju. Szeroko rozwarte oczy, trochę smutne, utkwiły w kwadratach szyb.

Do pokoju wszedł mężczyzna w uniformie szoferskim.

— Proszę pani, samochód stoi przed gankiem.

Baśka odwróciła głowę. Jej oczy dotąd smutne zapłonęły nagle blaskiem. Spojrzała na złoty zegarek, oplatający przegub dłoni.

— Osiemnasta czterdzieści pięć — szepnęła zdziwiona. — Za piętnaście minut muszę być na Placu Wolności. Przecież Mik się będzie niecierpliwił. Mój kochany, poczciwy Mik. Wyobrażam sobie jak on przemoknie.

Narzuciła na siebie gumowy płaszcz i wybiegła z pałacu. Natychmiast otoczyła ją noc.

Tuż przed gankiem stał sportowy samochodzik. Po czarno lakierowanej jego karoserii spływały na ziemię strumienie wody. Baśka wsiadła do wnętrza i dłonie jej spoczęły na kole kierownicy. Wesoło zawarczał motor i w ciemność pobiegło błyskawicą światło reflektorów.

W ślad za smugą światła potoczył się cień samochodu. Biegł kilkadziesiąt metrów żwirową aleją bezlistnych drzew, a potem wyjechał na równą szosę.

Teraz Baśka kurczowiej ścisnęła dłońmi kierownicę i samochód pognał jak wicher. Oświetlona strzałka szybkomierza drgała nerwowo, wskazując coraz to wyższą cyfrę. Lśniące krople wody rozbryzgiwały się na szybie tuż przed twarzą Baśki.

Wreszcie mignęła pierwsza latarnia. Następne znaczyły się w mgle deszczu. Zaczynało się miasto. Ulice były prawie puste i zalane wodą. Ludzie schronili się do domów.

Baśka dostrzegła postać jakiegoś mężczyzny. Stał samotnie pod drzewem. Nagie konary, parte siłą wichru, pochylały się nad nim jakby chciały go dosięgnąć i zmiażdżyć.

Nieznajomy snać usłyszał warkot motoru, gdyż odwrócił głowę. Światło padło na jego twarz ponurą, na oczy dzikie, patrzące wyzywająco. Prawa dłoń błysnęła lufą rewolweru.

— Bandyta! krzyknęła Baśka, zwiększając bieg.

Tymczasem dłoń podniosła się wyżej i lufa dotknęła skroni. Niebawem huknie strzał.

Baśka nacisnęła guziczek sygnału. Ostry gwizd rozdarł powietrze. W ten sposób dała znak i szalony człowiek zawahał się. Pociągnąć za cyngiel i paść w błoto z rozbitą czaszką? Czy też żyć dalej?

Wybrał to drugie, bo opuścił dłoń, która miała wykonać samowolny wyrok śmierci.

Baśka zatrzymała auto i, wyskoczywszy na bruk, stanęła oko w oko z niedoszłym samobójcą. Zmierzyła go wzrokiem.

— Pan chciał się zastrzelić? Taki młody i pełen sił?

Stał przed nią, jak skazaniec.

— Byłbym odebrał sobie życie, powiedział szczerze.

— Ja panu przeszkodziłam?

— Pani, a właściwie jej oczy. W chwili, gdy miałem nacisnąć cyngiel, ujrzałem za szybą pani ładną twarz i oczy cudne, przelękłe. Patrzały na mnie błagalnie jakby mówiły: nie strzelaj! Mimowoli ręka mi zadrżała i opadła. Żyję. Nigdy teraz nie zapomnę tych oczu pani. Dla nich warto jest żyć.

Uchylił kapelusza i odszedł w mrok słotnej nocy.

Baśka wsiadła do samochodu. Za chwilę była już na Placu Wolności. Skoro tylko zatrzymała wóz nadbiegł młody mężczyzna. Był zmoczony, a powierzchnia jego gumowego płaszcza lśniła w blasku świateł jak średniowieczna zbroja.

— Mik! — krzyknęła radośnie Baśka, otwierając drzwiczki.

Usiadł obok niej, całując jej rączki.

— Spóźniłaś się o pięć minut.

— Wiem, lecz nie gniewaj się na mnie, drogi Miku. Te pięć minut poświęciłam mężczyźnie, który w swą skroń wycelował w celu samobójczym rewolwer i tylko dzięki mnie nie strzelił.

— — — — — — — —

Wracali.

Na jezdni leżał jakiś człowiek. Baśka nacisnęła hamulce. Auto stanęło. Mik pochylił się nad leżącym. Strumień krwi spływał ze skroni, ginąc w kałuży błota. W zaciśniętej dłoni tkwił strzęp papieru.

Mik przeczytał.

„Ona ocaliła mnie. Nie mógłbym jednak żyć w tęsknocie za nią. Życie byłoby teraz podwójną męką".

Mik spojrzał pytająco na Baśkę.

— Ten sam — szepnęła smutnie.

Koniec.

— Panno Janino — zaczął Zdzisław po chwili milczenia. — Czy pani gniewa się na mnie?
— Czemu?...
— Bo pani jest teraz jakaś inna. Mam wrażenie, że pani nie życzy sobie mego towarzystwa... Wiem, że zawiniłem wczoraj, ale ja nie chciałem pani obrazić. Moja wina była jedynie ta, że na chwilę straciłem panowanie nad sobą...
Janka zarumieniła się na wspomnienie wczorajszego pocałunku.
— Niech pani mi odpowie — prosił Zdzisław. — Czy rzeczywiście zasłużyłem na tak wielką karę: gniew pani?
— Ja się na pana nie gniewam, panie Zdzichu.
— A pani postępowanie...?
— Czy było niesłuszne? — Janka zmierzyła go przymrużonemi oczyma. — Pan sam przyzna, że mogłam być obrazić się na pana. Jednak nie uczyniłam tego. Chciałam tylko, aby pan wiedział, że nie pragnę przyjaźnić się z mężczyznami, którzy są zbyt agresywni wobec kobiet.
— Ależ, panno Janino — zawołał. — Chyba mnie pani do takich nie zalicza?
— Naturalnie, że nie — roześmiała się. — Pan przecież stanowi wyjątek.
Zdzisław wejrzał na nią przeciągle i, wziąwszy jej rękę, złożył na niej pocałunek.
— Dziękuję — rzekł. — Ogromnie ciążyło mi przypuszczenie, że pani gniewa się na mnie. Byłem strasznie zmartwiony...
— O, nie było widać tego po panu — odparła z lekkim odcieniem ironii. — Nie widziałam nigdy, aby pan był tak ożywiony.
— Jak kiedy?
— Jak dziś rano w czasie spaceru z moją kuzynką.
Mówiła wesoło, ale Zdzisław spostrzegł, że jest nieco rozdrażniona. Spostrzeżenie to ucieszyło go niezmiernie. Widocznie była o niego trochę zazdrosna.
— Panna Irena — rzekł Zdzisław — jest bardzo inteligentną kobietą. A że ponadto jest bliską krewną pani, starałem się pozyskać i jej przyjaźń.
— I udało się panu?
— Tak. Jesteśmy już przyjaciółmi.
Wzrok Janki spoczął na trzymanym w ręku anonimie. Uśmiechnęła się. Poważno-tajemniczy wyraz jej twarzy zaciekawił Zdzisława.
— Co to za papier pani trzyma w ręku? — zapytał.
— List.
— O, przepraszam — rzekł tonem usprawiedliwienia. — Nie miałem zamiaru być niedyskretnym, ale pani tak dziwnie spoglądała na ten list. Myślałem, że to coś dla mnie. Może jaki wyrok...
— Prawie zgadł pan — rzekła poważnie.
— Co? — zawołał wesoło. — Czy surowy?
— Bardzo.
— W takim razie drżę ze strachu.
— Pan żartuje sobie, ale niech-no pan wprzód to przeczyta.
Podała mu list, obserwując go z pod oka.
Wzrok młodzieńca zdążył objąć zaledwie pierwsze zdanie, gdy brwi jego zmarszczyły się, a oczy zabłysły surowo. Wnet przez twarz przebiegł mu płomień i zgasł.
Kiedy skończył czytać, niezwykła bladość pokrywała twarz jego. Spojrzał na Jankę jakimś błędnym wzrokiem, potem skierował oczy na trzymany anonim, jakby chciał się przekonać, czy nie jest on złudą i znowu przeniósł wzrok na dziewczynę.
— Co... co to jest? — wykrztusił wreszcie.
— Anonimowa „przestroga" — objaśniła Janka, umyślnie kładąc nacisk na ostatni wyraz.
— To wiem... Ale kto to napisał?... Skąd to pani ma?...
— Kto napisał — nie wiem. Jakiś „gość" tajemniczy. Nic więcej nie wiemy. Anonim ten otrzymał ojciec z dzisiejszą pocztą.

— A pani?... — głos młodzieńca drgał wzruszeniem. — Pani uwierzyła temu co tu napisano?...
— Nie, panie Zdzichu. Gdybym uwierzyła, czyż pokazywałabym panu ten świstek?... Już ojcu powiedziałam, że to jest szkaradne oszczerstwo, a autor jego podłym człowiekiem.
Wyciągnął do niej obie ręce.
— I pani broniła mego honoru?
— Czy pan naprawdę zwątpił w moją przyjaźń? — zapytała, podnosząc na niego oczy. — Jeśli tak, to źle... bardzo źle. Bo ja nie straciłam wiary w pana... przyjaźń. Nowet gotowa jestem dopomóc panu do ujawnienia oszczercy.
Oczy jej błyszczały. Zdzisław z zachwytem patrzał na nią. Miał wielką ochotę wziąć ją w objęcia i wycałować te kuszące aksamitne usteczka, ale zdołał się powstrzymać. Miał w pamięci słowa Janki, któremi przestrzegała go z jakimi mężczyznami nie chce się przyjaźnić.
W milczeniu długo popatrzyli sobie w oczy. Młodzieniec ucałował potem tylko jej rączki i odbiegł z takim pospiechem, że na zakręcie korytarza z całym impetem wpadł na stojącego tam lokaja Franciszka.

— — — — — — — —

Zdzisław z pospiechem kończył ranną toaletę. Dotychczas zawsze ubierał się dobrze, według najnowszej mody, choć nigdy zbyt wiele nie myślał o swej powierzchowności.
Tym razem jednak myślał o tem, jak będzie wyglądał. Stanął przed lustrem i krytycznym okiem przeglądał w niem odbicie swej postaci. Był bardzo zadowolony, że przywiózł z sobą nowe ubranie, które znakomicie na nim leży. Oczekiwał tylko chwili, kiedy będzie mógł pokazać się Jance.
Spotkali się dopiero przy drugiem śniadaniu. śniadaniu. Siedzieli daleko od siebie, a jednak spotykali się często oczyma. Ich myśli zbiegały się na jednym punkcie: wyłaniała się przed nimi scena na korytarzu, kiedy zrozumieli się...
Po kawie mężczyźni przeglądali gazety. Irena i Janka siadły w przeciwległym rogu jadalni; poczęły rozmawiać przyciszonym głosem.
Zdzisław spostrzegł wkrótce, że jest obserwowany przez literata. Tulczyński niby całkowicie był pochłonięty czytaniem, ale uważny obserwator spostrzegł by natychmiast, że jest dziwnie roztargniony. Wzrok jego często wybiegał ponad gazetą i spoczywał na Zdzisławie, to znowu obejmował rozmawiające panienki.
Młodzieniec zastanowił się. Dlaczego Tulczyński tak pilnie obserwuje jego i Jankę Krańską?
Także ojciec Janki był dzisiaj jakoś inny. Przywitał go jak zawsze, wesoło i serdecznie, lecz nie uszło uwagi Zdzisława, że przez kilka sekund przyglądał się mu badawczo, jakby wzrokiem pragnął wybadać głąb jego duszy.
— To zapewne wpływ oszczerczego anonimu — myślał. — Całe szczęście, że Janka nie uwierzyła...
Nie interesowały go dzisiaj wiadomości, jakie zawierały dzienniki. Wolałby porozmawiać z Janką.
Korzystając z tego, że obaj mężczyźni byli pochyleni nad gazetami i całkowicie pochłonięci czytaniem, powstał od stołu i przysiadł się do dziewcząt.
— Może przeszkadzam? — zapytał.
— Wcale nie — odparła Irena. — Właśnie chciałyśmy pana poprosić do rozmowy. Zauważyłyśmy bowiem, że pan nudził się przy stole.
Zdzisław czekał na potwierdzenie tego z drugiej strony.
Janka skinęła głową.
— Wie pan — zaśmiała się. — Ira nie może już obejść się bez pańskiego towarzystwa. Mówi, że pan jej ogromnie imponuje.
Spojrzał na mocno zarumienioną dziewczynę.
— Czy tak, panno Irko?
— Owszem, tylko nie ja tak powiedziałam.
— A kto?

(Ciąg dalszy w nast. numerze).

8)

Radość życia

powieść

Poszliśmy ku drzwiom schludnego domku, w których w tej chwili stał chudy Grek, rozglądając się po niebie i jakby badając stan pogody. Zmierzył nas surowym wzrokiem i kiedy chcieliśmy wyminąć go i wejść w drzwi, zastawił nam osobą swoją przejście.

— Czego chcecie tu ludzie? Żebranie wzbronione jest w tym gmachu.

— Mylisz się, dostojny beyn — odrzekłem żartobliwie — zawodem naszym nie jest żebranie, albowiem nie jesteśmy ani Grekami, ani Turkami.

Skonfudował się nieborak i oczyma groźnie błysnął, ale wpuścił nas do środka, zapytując tylko, czegośmy sobie życzyli.

— Zaprowadź nas do ministra, gdyż pragniemy rozmówić się z nim w rzeczach wielkiej wagi.

Grek poszedł przodem, ale po jego minie widziałem, że nie żywi do nas zbyt wielkiego zaufania i uważa nas poprostu za parę wariatów. Tak też zapewnie musiał nas tam przedstawić, gdyż po chwili wrócił z oznajmieniem, że pan minister jest zajęty, wobec czego przyjmie nas pierwszy sekretarz.

— Nie, my chcemy widzić się z samym ministrem — odrzekłem, a jednocześnie przyszło mi na myśl sprawdzić, czy też nie zapomniano tu jeszcze dźwięku mego imienia; dodałem przeto: — proszę iść jeszcze raz i powiedzieć panu ministrowi, że chce z nim rozmawiać Sewer Jorda.

Grek pokręcił głową, ale poszedł. Wrócił za chwilę, gnąc się w serwilistycznych ukłonach i zapraszając nas do gabinetu ministra. Śmiech mnie ogarniał pusty na widok głupiej miny, jaką miał Grek, ale zdusiłem go w sobie i oboje przeszliśmy przez cały westibul z minami conajmniej grandów hiszpańskich lub książąt udzielnych.

Kiedy drzwi gabinetu ministra zamknęły się za nami, minister spojrzał uważnie na mnie, potem dłużej na Niobe, wskazał nam gestem miejsca na miękkich, skórą obijanych fotelach, po czym dopiero rzekł:

— Czy woźny nie pomylił się przypadkiem lub może ja się przesłyszałem? Pan jest rzeczywiście Sewerem Jargą? owym sławnym muzykiem, o którym od lat dwóch wszelki słuch zaginął?

— Rzeczywiście ja nim jestem, panie ministrze.

— Trudno mi doprawdy uwierzyć... Jeśli mnie pamięć nie myli, pan Jarga prezentował się nieco odmiennie... Hm! Czy posiada pan jaki dowód swojego twierdzenia?

Na to byłem przygotowany. Sięgnąłem za pazuchę i wydobyłem stamtąd stary, pomięty i już postrzępiony nieco mój paszport, posiadający wszelkie formalności ważne do dziś.

— Oto dokument — służę nim — rzekłem po polsku, podając paszport ministrowi.

Przejrzał go uważnie, podnosząc od czasu do czasu wzrok na mnie, poczem zwrócił mi go z uwagą:

— Owszem, dokument w najlepszym porządku, ale, widzi pan... pan go mógł znaleźć, kupić, zdobyć w jakikolwiek inny sposób... ja — nie mam pewności pańskiej autentyczności...

To było coś dla mnie nowego; tego nie przewidziałem. I przyznam, że zrobiło mi się bardzo głupio na myśl, iżbym nie mógł udowodnić własnej autentyczności.

— Bardzo pana przepraszam — mówił minister — ale do tego, co mówię, mam pewne podstawy. W ciągu tych dwóch lat nieobecności pana Jargi, w różnych miejscach zgłaszali się do naszych placówek dyplomatycznych różni ludzie podający się za znakomitego muzyka, domagając się różnych rzeczy, a głównie pieniędzy. W rezultacie za każdym razem okazywało się, że nie mieli oni nic wspólnego z panem Jargą.

Ach tak! Więc moją sławę próbowali dyskontować rozmaici oszuści, na szczęście bez powodzenia. I domagali się pieniędzy! Ładną wyrabiali mi opinię, ani słowa.

— Jak zatem, zdaniem pana ministra — spytałem — mam udowodnić moją tożsamość?

— Niech pan coś zagra z własnych utworów.

— Dawniejszych, czy najświeższych?

— Niech pan zagra „Łzy Kallope". Słyszałem to kiedyś w Warszawie, bawiąc na urlopie i nie mogę zapomnieć tych wstrząsających dźwięków.

— Dobrze. Proszę o skrzypki.

Pan minister, który, jak się okazało, sam był wcale dobrym muzykiem i kompozytorem, otworzył jedną z czarnych szaf i wydostał z niej najprawdziwszego Stradiwariusa. Poznałem go odrazu, zaledwie tylko wziąłem skrzypki w rękę i tràciłem palcami po strunach. Lecz zaraz powstało we mnie zwątpienie: czy zagram tak, jak dawniej? Dwa lata nie grałem wcale. Muszę, muszę zagrać, przebiegło mi burzą przez mózg. Muszę ratować mój honor, moje dobre imię. Inaczej będę musiał odejść stąd z piętnem oszusta na czole. I cóżby się stało wtedy z Niobe? Ona tak mi wierzyła zawsze, tak mi wierzyła... Muszę, muszę zagrać, choćby to miała być moja ostatnia, moja łabędzia pieśń. Melodję miałem w pamięci, przypomniały mi się najdrobniejsze jej szczegóły. Toż skomponowałem ją wtedy, gdy kształcąc się w Medjolanie, dostałem wiadomość o śmierci matki, którą nad wszystko w życiu kochałem. Te „Łzy Kaliope", to były łzy mej matki, kiedy, umierając i pozostawiając mnie bez grosza w kalecie, musiała tak właśnie boleć nad losem swego jedynaka. Przypomniała mi się teraz ta melodia jak żywa, grała mi w duszy wspomnieniem dawno umarłem, ale odradzającym się teraz, jak mistyczny Feniks.

Przejechałem smykiem po strunach. Zadźwięczały najczystszym metalem, lecz niezbyt zgodnie. Nastroiłem je przeto, a potem zwróciłem się do Niobe:

— Mam grą udowodnić, że ja naprawdę jestem sobą, Niobe — rzekłem.

Spojrzała na mnie wzrokiem, w którym czytałem bezbrzeżną ufność i pewność i wiarę w zwycięstwo.

Wziąłem pierwszy akord. Stradiwarius przemówił w mych rękach, jak żywy. Zacząłem grać. Rozwiodłem łzawą melodię, co płynęła jak skarga bolesna, jak krzywda wiecznie żywa, paląca, straszna... Snuł się w niej żal i modlitwa, skarga i prośba, pożegnanie i życzenie wiekuistego szczęścia z zagrobu. Łkał w niej płacz skrzywdzonej sieroty, to znów wybuchał śmiech srebrzystymi gamami, lecz i w śmiechu tym dźwięczały łzy. Zapomniałem o czasie i miejscu, zapomniałem o mojem istnieniu nawet, tak dalece poniosła mnie melodia, tak bardzo mnie porwała. Włożyłem w nią całe serce i całą duszę moją, wszystkie bóle i wszystkie tęsknoty i grałem, grałem, grałem...

— Dość, dość, na Boga, bo serce pęknie! — jęknął czyjś głos, gdzieś koło mnie; alem ja nie urwał, nieposłuchał, nie skończył mej gry, bo czułem w niej całą moją dolę, całą miłość matczyną, każde drgnienie jej kochającego serca, poświęcone mnie, swemu dziecięciu, które może zginąć, zmarnieć, zaprzepaścić się... Grałem dalej i dalej, wkładając w tę grę kawał po kawale mego serca i mej duszy i chciałem wygrać z siebie wszystko, aby już nic nie zostało, nic...

Lecz w tem szarpnięto mnie gwałtownie za rękę, smyk z głuchym łoskotem padł na podłogę. Spojrzałem przytomniej: przede mną stał minister, blady jak chusta, z oczyma płonącymi jakimś stra-

szmym ogniem, u mych stóp płakała cicho Niobe.

Złożyłem skrzypki na biurku, obtarłem pot z czoła, a potem podniosłem Niobe i przytuliłem ją czule do piersi.

— Twoja wiara zwyciężyła, Niobe — szepnąłem — nie płacz, serdeczna moja, nie płacz...

— Sew, o, Sew... to ze szczęścia, z ogromnego szczęścia...

— Dość, panie, panie, błagam... — wyrzekł wkońcu minister. — Przecież najmocniejsze serce pęknąć może z żalu, słuchając takiej muzyki... Tak, tylko pan może być prawdziwym Sewerem Jargą, tylko pan możesz dać tej melodii tyle duszy.

Minister podał mi dłoń, którą uścisnąłem krzepko, ale wciąż byłem jak odurzony, jak pijany winem. Wciąż jeszcze nie mogłem wrócić do rzeczywistości chwili obecnej.

Tymczasem minister nacisnął biały taster dzwonka i w drzwiach ukazał się ów znajomy nam już Grek.

— Podaj tu śniadanie na trzy osoby — rozkazał nasz gospodarz. A gdy służący zniknął, minister zwrócił się do mnie. — Mistrzu, wybacz pan moją ostrożność. Jestem sługą mego narodu i muszę czuwać nad jego honorem, nad naszym honorem. — Siadajcie państwo — zaprosił nas już po grecku. — Nim przyniosą śniadanie, pogawędzimy nieco. Słucham więc, czem mogę państwu służyć?

W krótkich, telegraficznych zdaniach, wyłuszczyłem rzecz całą i tak zakończyłem:

— Posiadamy mały skarb, który pragnęlibyśmy zachować przed chciwym okiem greckiego fiskusa, a jednocześnie być w zgodzie z prawami tego kraju. Czy zatem nie raczyłby pan, panie ministrze dać nam radę i pomoc swoją?

Z temi słowy podniosłem woreczki z pieniędzmi z podłogi i zacząłem ustawiać je na biurku. Mimowoli spostrzegłem ogromne zdumienie na twarzy mojego gospodarza.

— Czy... czy to wszystko złoto?

— Tak — te cztery worki, to same stare tetradrachmy z VI wieku przed Chrystusem.

— Miliardowa fortuna!

— Nie wiem, ile tego jest, ale będę niewymownie wdzięczny panu, panie ministrze, jeśli raczy okazać mi pomoc w umieszczeniu tych pieniędzy w Banku Polskim i uzyskaniu przekazów na wszystkie banki europejskie do wysokości kwoty, jaka zostanie po pokryciu kosztów tranzakcji.

— Przedtem musimy to wszystko zliczyć...

— Czy mogę być uwolniony od tej przykrej funkcji?

— Ależ!...

— Panie ministrze — jesteśmy w gmachu narodu polskiego, a pan jest jego posłem nadzwyczajnym i ministrem pełnomocnym. Naród polski i jego ministrowie zasługują na bezwzględnę zaufanie.

Gospodarz mój uścisnął mi serdecznie dłoń i już więcej nie rozmawialiśmy o tem, bo właśnie wjeżdżało śniadanie.

Ciekaw byłem ogromnie, jak sobie da radę Niobe z różnemi wynalazkami cywilizacji, jak nóż, widelec i t. p., lecz i tutaj sprawiła mi niespodziankę bardzo przyjemną: władała niemi, jak najpierwsza markiza francuska lub duenna hiszpańska. Powiedziałem jej to, uśmiechnęła się bardzo uroczo.

Po śniadaniu pan minister był na tyle uprzejmym, że podarował mi swego nieocenionego Stradivariusa, a ja — cóż ja mogłem mu w takich warunkach, jak obecne — podarować? Czem mogłem się zrewanżować? Nie posiadałem przecie nic, prócz tych worków z tetradrachmami. Ale nie, posiadam rzecz cenniejszą nad złoto: „Marsz hoplitów", pisany moją krwią serdeczną na chitonie. Rzekłem więc, wyciągając materiał:

— Panie ministrze — nie posiadam nic na tyle cennego, czem mógłbym podziękować za dar tak wspaniały, prócz tej oto rzeczy — melodii pisanej krwią moją własną na kawałku chitonu — czy raczy pan przyjąć tę drobnostkę?

Minister wziął materiał w rękę.

— Mistrzu — rzekł wzruszony — darowujesz mi rzecz najcenniejszą, jaką człowiek człowiekowi darować może, bo krew własnego serca. Z wdzięcznością przyjmuję ten hojny dar, ale... pod warunkiem... pod warunkiem, że tego marsza zagrasz mi sam wtedy, gdy o to poproszę?

— Najchętniej.

Mocny, męski uścisk dwóch dłoni przypieczętował ten pakt.

— Na zakończenie — rzekł znów minister, siadając przy biurku — pozwólcie drodzy moi, że was na drogę zaopatrzę w nektar bardzo konieczny — mamonę, bo pewno nie macie złamanego szeląga.

Roześmiałem się, biorąc z rąk ministra czek na jakąś pięciocyfrową sumę.

— A sprawę mieszkania — dodał minister — boć gdzieś zamieszkać musicie, załatwi już mój Baltazar: to genjalny służący i — uczciwy, możecie mu państwo całkowicie zaufać.

Naciśnięty taster postawił Baltazara w drzwiach gabinetu.

— Baltazarze — zwrócił się pan poseł pełnomocny głosem najbardziej urzędowym — każ podać auto i zawieziesz państwa do hotelu „Versailles": dwa apartamenty na pierwszem piętrze, prima, rozumiesz?

— Tak jest, ekscelencjo.

— Wyszukasz następnie dla państwa: modystkę, krawca, handlarza biżuterii, kupisz auto, wynajmiesz służącego i pokojową, słowem, postarasz się o wszystko, co jest niezbędne dla państwa, którzy chcą bywać w świecie. I zostaniesz tam tak długo, dokąd państwo zechcą. Rachunki wszelkie każesz tu, do mnie przysłać, ja będę płacił. Zrozumiano?

— Tak jest, ekscelencjo.

— Możesz odejść.

Baltazar zniknął bezszelestnie za drzwiami, a w parę minut później warkot motoru dał znać, że auto zajechało.

— Żegnam państwa — odezwał się znów pan poseł — urządzcie się tam jak najwygodniej, wypoczywając, a wszelkie troski zostawcie ludziom mniej szczęśliwym.

Wyszliśmy oboje uśmiechnięci, wkraczając w nowe życie, które, któż wie, co nam przyniesie?

XXII.

Grecy współcześni stracili bardzo wiele z poczucia piękna i poezji swoich przodków. Tamci, gdy coś obie przyswajali od narodów obcych, ubierali to zawsze w nowe formy, przerabiali według swoich pojęć o pięknie i tworzyli arcydzieła sztuki.

A dzisiejsi? Weźmy ten hotel, który obecnie jest naszą siedzibą: ogromny, niezdarny gmach, wzorowany zapewne na berlińskich koszarach huzarskich i nazywa się „Versailles". Dlaczego? Nikt mi na to odpowiedzieć nie umie. A ja myślę, że chyba dlatego, bo budowę prowadzili Niemcy, więc postawili ciężki, masywny, koszarowy budynek typowo niemiecki. Stąd właśnie ta jego niezdarna postać. Pierwszym właścicielem był Francuz, dlatego nazwał hotel „Versailles", zapewne przez ciasno pojęty patrjotyzm. I tak już ten tytuł pozostał, choć Francuza dawno niema. Tymczasem hotel ten powinien nazywać się „Germania" — i wtedy wszystko byłoby w porządku.

Gdyby na tem pięknem miejscu z widokiem, z jednej strony na morze, z drugiej na miasto, postawiono budynek klasycznie grecki, jakiś erechtjon, achileon lub coś w tym rodzaju, z kolumnami, marmurami — jakieżby to cacko było, miłe oku każdego estety! A tymczasem...

Jest to tylko piramidalna pokraczność, która mnie przyprawia o rozstrój nerwów, ilekroć muszę na nią patrzeć.

Jesteśmy już urządzeni. Maszyna cywilizacji porwała nas w swoje tryby, wtłoczyła w kanony konwenansu i w prawa Znanego i Uznanego. Jest to obroża, która obrabia mi szyję, ale mam nadzieję, że niedługo wyzwolę się z niej. Tymczasem jednak tkwię na miejscu, jak ślimak w swej skorupie: i ja i Niobe.

Mamy dwa oddzielne apartamenty, które łączą się wspólnym, dość gustownie przez Niobe urządzonym salonem, w którym przyjmujemy gości, tak — gości. Ci osobnicy są nieodłączni z wszelkiemi nalecialościami cywilizacji; nie kultury, lecz tylko cywilizacji. Te dwie rzeczy bardzo różnią się między sobą. Kulturalnemi były przecież i ludy t. zw. barbarzyńskie, choć nie były cywilizowanymi.

Baltazar jest naprawdę genialnym służącym. Nie wyobrażam sobie, jak moglibyśmy żyć bez niego i jak moglibyśmy sobie radzić. Zajął on się tak szczerze naszemi sprawami, że w ciągu jednej doby Niobe miała już pokojową, garderobianą, modystkę, nauczycielkę francuskiego, metra tańców i profesora muzyki, nie licząc wszelkiego rodzaju szmatek, bez których dama współczesna nie mogłaby sobie wyobrazić życia, biżuterii i t. p. Nadto zjawili się gromadnie najrozmaitsi inni dostawcy aut, koni, powozów, win, koniaków, krawcy z garderobą dla mnie, reporterzy pism, nawet ci. Nie lubię tego typu ludzi wszędobylskich, więc nie raczyłem ich przyjąć, zostawiając załatwienie tej sprawy Baltazarowi. Wyobrażam sobie, ile on tam musiał nałgać, skoro nazajutrz wszystkie pisma rozniosły po całym świecie, takie dziwaczne historie o nas obojgu, że kiedy odczytywałem te wszystkie nonsensy, bawiłem się znakomicie. Niobe została w tych „sensacjach" księżniczką jakiegoś hinduskiego nababa, po którym miałem odziedziczyć fortunę miljardową, a ja? Cóż za kopalnia bzdur i nonsensów! Dowiaduję się mianowicie, że w ciągu dwóch lat bawiłem w Indiach, lecząc u tamtejszych fakirów moje prawe ramię, że wyleczyłem się zupełnie, a talent mój obecnie przerasta wszystko dotychczasowe; że niedługo rozpocznę objazd z koncertami po całej Europie, ba, świecie całym; że Niobe pojąłem za żonę i że ona żona moja posiada tak cudowny głos, jakiego nie słyszano dotąd nigdy; że da ona wraz ze mną kilka koncertów, itd., itd.

Czytałem w swoim gabinecie te doniesienia i śmiałem się do łez, gdy na progu stanął Baltazar. Z jego miny poznałem, że ma mi coś ważnego do powiedzenia. Zapytałem go tedy:

— Cóż tam, Baltazarze?

— Panie... pan Dernixocopulos, wynalazca i profesor magii, pragnie złożyć panu swoje uszanowanie.

— Ależ ja nie znam żadnego pana Dernixocopulosa! Jeżeli masz ochotę, pogadaj sobie sam z nim i dowiedz się, czego chce.

— Już mu to oznajmiłem i, gdyby nie wyglądał tak poważnie, jak wygląda, oznajmienie to poparłbym był przykładem...

— No i cóż on na to? — zainteresowałem się.

— Nie chce odejść. Upiera się, że musi osobiście z panem rozmawiać o rzeczach tak ważnych, od których zależy niemal życie pana.

Domyśliłem się intencji pana Dernixocopulosa. Takie typy ludzkie znajdziecie wszędzie. Krążą one jak satelici dokoła wybitnej osobistości, proponując sprzedaż przeróżnych tajemnic, od których zależeć ma wasze życie, powodzenie i szczęście.

— Daj temu panu na odczepne parę drachm i wygoń go precz — rzekłem wkońcu. A gdy Baltazar wyszedł, uchyliłem nieco drzwi na korytarz, by posłuchać rozprawy. Niestety, odbyła się ona bez żadnego szumu.

W parę dni po roztrąbieniu przez prasę niesamowitych historii o mnie, o Niobe i miljonach, zaczęło się nowe moje utrapienie. Zaczęły napływać listy z różnych stron świata, domagające się bądź autografów na moich i Niobe fotografiach, bądź pieniędzy, najwięcej pieniędzy. I ta powódź listów wzmagała się z dnia na dzień, a żądania pieniędzy rosły i rosły w nieskończoność. Dziennej poczty nie byłem w stanie przejrzeć w ciągu doby; o odpowiedziach nie było mowy. Trzeba było przyjąć sekretarza, któryby zajął się tymi sprawami. Osobiście nie miałem żadnej ochoty zajmować się tem wszystkiem. Wolałem siadać z Niobe do auta i pędzić tak godzinami po drogach i bezdrożach, upajając się tym szalonym biegiem w nieznane.

Lecz musieliśmy się zdjąć oboje z Niobe, kazać zrobić kilka tysięcy sztuk egzemplarzy odbitek i polecić to nowozaangażowanemu sekretarzowi podpisywać za nas oboje i rozsyłać tym, którzy o fotografie i autografy prosili.

To wszystko było jeszcze niczem w porównaniu z tem, co dopiero nastąpić miało. Dotąd byliśmy względnie swobodni i z tymi klientami, którzy do nas się zgłaszali, doskonale dawał sobie radę Baltazar do spółki z portierem hotelowym. Odkąd jednak prasa całego świata zaczęła przynosić o nas dzień w dzień najbajeczniejsze wiadomości, poczuliśmy cały ogromny ciężar naszych miljonów.

Nie można było wyjść z hotelu, aby nie być narażonym conajmniej na dwadzieścia wywiadów i stokilkadziesiąt zdjęć fotograficznych, nie mówiąc już o żebrakach, łazikach i kombinatorach, zastępujących drogę co krok. Początku Niobe zajmowało to wszystko, pozwalała się fotografować, udzielała odpowiedzi na wszelkie pytania, rozdawała znaczne sumy proszącym, wkońcu tak bardzo męczyło ją to wszystko, że nie odważała się prawie wychodzić z domu.

— Sława jest ciężarem ogromnym — skarżyła się często. — Człowiek sławny lub bogaty staje się niewolnikiem swojej sławy lub swego majątku.

Uśmiechnąłem się. Ja to już znałem dawniej, znałem tę niewolę, gorszą od galer. Ludzie obcy i nieznani nam wcale z imienia, których istnienia nawet nie podejrzewamy, klepią was poufale po ramieniu i uważają za coś własnego, jakby to oni sprawili, że jesteście sławni lub bogaci. A wy to musicie cierpliwie znosić, przyjmować z uśmiechem, choć najchętniej trzasnęlibyście takiego pana po łapach, ażeby trzymał je przy sobie.

Nie macie jednej wolnej chwili dla siebie i nie możecie nic ukryć, bo na każdym kroku macie stu szpiegów, łażących wam po piętach, ścigających was jak złoczyńcę i cokolwiekbyście zrobili lub cokolwiek rzekli, w parę godzin później wiedzieć o tem będą wszyscy ludzie na globie ziemskim, gdziekolwiek czytają gazety.

Więc musicie używać tysiącznych wybiegów, kruczków i maskowań, aby zapewnić sobie choć najkrótszą chwilę dla siebie, w której nie czulibyście się skrępowani, śledzeni i strzeżeni. I o ile uda wam się zdobyć taką chwilę, spędzacie ją w radości dziecinnej na zabawie tak niewinnej, jak niewinnymi są zabawy niemowląt. A ludzie, jeśli kiedykolwiek dowiadują się o tem, dziwią się, że z was jeszcze takie małe, choć już dorosłe, dziecko.

Niobe nie znała tego wszystkiego, bo jeszcze nie była dotąd sławną. Była tylko narazie bogatą, przez swoje bogactwo tylko sławną, a już ją to zmęczyło, już ją wyczerpało.

Aby uniknąć tego wszystkiego, co nas oboje nużyło, ułożyliśmy tak rozkład dnia: rano, po obowiązkowych zabiegach kosmetycznych, zjadaliśmy śniadanie każde u siebie i Niobe ćwiczyła swój głos, potem uczyła się języków i przedmiotów ogólnokształcących aż do drugiego śniadania. Ja tymczasem ćwiczyłem moje palce i przypominałem kurs gry na nieocenionym Stradiwariusie. Drugie śniadanie razem, poczem Niobe, poświęcała kilkanaście minut modom, a ja czytałem cokolwiek. Po tym krótkim wypoczynku,

(Ciąg dalszy w nast. numerze).

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

Tak nieskończenie długą wydawała się droga i oto naraz znalazł się na twardej ziemi w Marsylii! I tylko pół dnia, noc w wagonie, dzieli go od od Paryża, od Mar-Molli, od Ałmaz-Chana i od Gafaniego.

Wreszcie, wreszcie...

I tak zagłębił się w sobie, że nie słyszał chaotycznego i krzykliwego nawoływania życia wielkiego portu, nie słyszał przejmującego wycia syren, nic nie słyszał.

Przepełniło go jakieś dziwne wzruszenie, jakiś wiośniany, słodki smutek, a wszystko to zmywała wielka, potężna fala radości, tak potężna, że zdawało się o śmierć przyprawić mogła.

Rozmowy przez telefon i zwykłe rozmowy.

Gafani wciąż jeszcze nie mógł się zdecydować na otwarcie skrzyni, akuratnie zaszytej w łosiową skórę i mocno związanej, silnym nowym sznurem.

Przesuwając moment otwarcia futerału, posiadacz skarbu robi sobie tem osobliwą, męczącą przyjemność oczekiwania.

Nadzieja jest zawsze bardziej pociągająca, bardziej emocjonująca, aniżeli ziszczone pragnienie. Tak samo kochanek odciąga rozkosz zdobycia tej, którą zdobędzie poraz pierwszy.

Gafani kontentował się świadomością tego, że skarby znajdują się w jego sypialni i stanowią teraz jego niepodzielną własność. On może, kiedy tylko zechce, wyłuskać z gniazd wszystkie kamienie mugańskiej korony, może pożądliwie zatopić palce w perłach, jak w misce orzechów. Bo też perły te są wielkości laskowych orzechów. Zdążył zauważyć to, gdy skarby mugańskiej dynastii znajdowały się jeszcze w skarbcu na Avenu Raphael.

Są bezcenne! Gdy tylko Mar - Molli je ujrzy, nie oprze się ich urokowi. One ją zaczarują. Niech nawet nie jest taką, jak inne, a jednak wreszcie ona też jest kobietą...

Gafani podchodził do ciężkiej skrzyni i z lubością głaskał krótką, gęstą sierść koca.

Ale — zadziwiająca rzecz! Ta arcyzdobycz, której pozazdrościłby największy szantażysta i awanturnik świata, nie dawała rozkoszy, proporcjonalnie do miliardowej miary. Czy nie dlatego, że dostała się właściwie bez wysiłku, bez większych zabiegów, że była łatwem zwycięstwem?

On wyobrażał to sobie, jako wyczyn bardziej skomplikowany, wymagający wytężenia wszystkich jego „twórczych" sił. I — nic podobnego! Taksamo gościnny gospodarz każe lokajowi zawinąć w papier jakiś drobiazg, który przypadł do gustu miłemu gościowi.

Ale w danem wypadku, w swojem psychologicznem kalkulowaniu, Gafani nie miał racji. On nie zauważył najgłówniejszej rzeczy: mianowicie, że nie jemu tak łatwo wydano skarby, nie Gafaniemu, nie gościowi, a prawnemu spadkobiercy — Ammałatowi. A że on, Gafani, i Ammałat w oczach Ałmaz-Chana są jedną osobą, z tem Gafani w żaden sposób nie mógł się oswoić.

Na noc Gafani przysuwał skrzynię do samego wezgłowia swojego łóżka. Nie z obawy, że skradną, czy wyniosą, lecz żeby mieć ją bliżej siebie. Wystarczy przeciągnąć rękę i już się czuje dotykiem sierść, twardą lub pokornie miękką, zależnie od tego, w jakim kierunku się głaszcze...

On zasypiał z tem uczuciem dotyku...

...Dużo skrzyń, cały chaos. Jak z granitowych głazów, wyrasta z nich cała piramida, większa od piramidy Cheopsa. Ona jest tak potworna, tak wielka, że patrząc na nią, dech zapiera. Ona wciąż rośnie i rośnie. I nagle, rozpada się cała, a z rozbitych skrzyń sypią się kolosalne perły w formie czaszek ludzkich z pustymi, ziejącymi oczodołami. Uderzają o siebie z suchym trzaskiem kul bilardowych.

Gafani budzi się. W sypialni pełno słonecznego światła. Przeciąga się całem ciałem, uśmiechając się do słońca, uśmiechając się dlatego, że piękna jest rzeczywistość w porównaniu z nieprzyjemnym snem. Złe sny zawsze należy tłumaczyć naodwrót. Im gorszy był sen, tem lepiej wypadnie dla śniącego... Czy nocy, która poprzedzała wydanie skarbów, nie szedł po kolana w błocie i nieczystościach?

Dotknął skrzyni. Zwolnił szurowanie. Sznur wyrwał się z palców, jak cięciwa łuku... Już trzy na dziesiątą...

Na marmurowym stoliku nocnym zadzwonił telefon.

— Hallo? — cicho odezwał się szantażysta.

— Czy to pan Gafani?

— Tak, ja! — i zwymyślał siebie w duszy, że niepotrzebnie odezwał się: mówiła seniora Gonzales.

— Dzień dobry. Dzwonię z Café de la Paix.

— Jestem do usług pani...

— Nie zupełnie... Pan mnie unika! Pan niedobry!

— Ja? Panią? Ależ bynajmniej! Jestem tylko szalenie zajęty. Zdjęcia w atelier, sprawy z adwokatami, rejentami. Miliardowy spadek — to nie są żarty!

— Pan otrzymał miliardowy spadek?

— A co? Czy to już tak dużo?

— Daj Boże! Ale pan zupełnie przestał mnie kochać!

— Co też pani mówi! Moja miłość rośnie z każdym dniem!

— Ach, ileż szczęścia dałaby mi sama wiara w to... Aha, cóż to jeszcze chciałam... Przykro mi niezmiernie... Pan był tak uprzejmy i obiecał mi odwiedzić swojego jubilera...

— Byłem i zamówiłem! On poszukuje rzeczy podobnej do tej, którą pani ukradziono. Prosił o kilka dni. Z szafirem łatwo, ale gorzej będzie z bransoletą. Bądź co bądź — dał mi słowo.

— Oh! jakże wdzięczna jestem! Kiedy ujrzę pana?

— Prędko, prędzej, aniżeli się spodziewasz, ukochana! A tymczasem — wszystkiego najlepszego! Przez panią wyskoczyłem z wanny... Zimno mi. Przepraszam!

— Ot, dokuczliwa małpa! — pomyślał z odrazą Gafani.

W tym samym czasie na głównym piętrze, nad jego apartamentem, Mar-Molli i Manija zdążyły odbyć poranną gimnastykę, odświeżyć się zimnym tuszem, natrzeć jedna drugą włosianemi rękawiczkami do czerwoności, ubrać się i zażądać kawy.

W mleczno-białych zębach Manii chrupiał sucharek, posmarowany masłem.

Manija przypomniała:

— Moja droga! Jedziemy dziś do Beltran-Masseza.

— Ja nie pojadę, Manijo! Nie jestem w stanie!

— Jakto, rezygnujesz z portretu?

— Czyżbym się odważyła, skoro to jest życzeniem samego Benau! — z uśmiechem odpowiedziała Mar-Molli. — Pojedź z Viljegasem na wywiad, umówcie się co do honorarjum. Jednem słowem, bądź tak samo przedsiębiorcza i mądra jak zwykle.

— Uważasz, że jestem mądra?

— Bardzo! Pozornie jesteś lekkomyślna. Wogóle twoja powierzchowność potrafi w błąd wprowadzić. Jesteś mądrzejsza, aniżeli się wydajesz, głębsza, że żeli można przypuszczać, lepsza i dzielniejsza. A w ogólności — jesteś czarującem stworzeniem, które z całej duszy pokochałam. A więc — jazda z Viljegasem!

— Dlaczego z Viljegasem?

— Dlatego, że ten piękny chłopak podoba się tobie. Dawno to zauważyłam! Jeszcze na okręcie. I dlatego, bałamutko, że i ty mu się podobasz.

— Ja? Jemu? Żartujesz! Przecież on jest po uszy zakochany w tobie!

— To się wam tylko wydaje. Młodzieńców w wieku Viljegasa ciągnie do wszystkich mniej lub więcej pięknych kobiet. Ale, ponieważ płonąć afektem do wszystkich nie można, oni upatrują sobie jedną, wmawiając w siebie, hipnotyzując się: „ja kocham ją, dla niej jestem gotów na wszelkie ofiary, na wszelkie szaleństwa!“ Ale wszystkie te szaleństwa trwają tak długo, dopóki młodzian nie przekona się, że „objekt“ jest beznadziejnie zimny. I wówczas „miłość“ jak ręką odjął, a raczej — przenosi się na inny „objekt“. W danym wypadku, tym innym objektem jesteś ty! Bierzże go sobie i bądź szczęśliwa. Powtarzam — to jest przemiły chłopak. W twoich rękach on... Proszę... już zaczynają się telefony. Hallo? Tak, Gafami, to ja! Co? Już został pan wprowadzony w posiadanie spadku? — powtórzyła Mar-Molli dla Maniji i spojrzała na nią. —

— Winszuję, winszuję! Jednym Krezusem więcej. A raczej — nie! Krezusi wyszli z mody: — Rotszyldem, Vanderbildem! Moja odpowiedź? Przecież pan sam wyznaczył mi trzy dni czasu do namysłu. A niema jeszcze dwuch dni. Naprόżno pan przypuszcza... Ja dużo myślę, bardzo dużo. Jest o czem! Tembardziej, że pana propozycja, jak już wspomniałam, tak mnie zaskoczyła. Mieć nadzieję? Pewno, że pan może! Nie mają nadziei tylko umarli duchowo. Kiedy? Nie, nie, ja jem śniadanie u siebie. Jeśli pan sobie życzy, mogę udzielić panu kwadrans po śniadaniu, na dole, w hallu. Co? Mało? Zobaczymy. Dowidzenia.

Mar-Molli z odrazą powiesiła słuchawkę i przerwała dalsze wyznania wytrwałego wielbiciela.

— Manijo, nawet przez telefon mówić z tym człowiekiem, to dla mnie tortury! Zabójca! On ma ręce zabójcy! Straszna, tragiczna pustka dokoła Ammałata i jego losu wypełnia się przypuszczeniami. Niestety, te przypuszczenia niczego pocieszającego nie przynoszą. Jeszcze do niedawna miałam promyk nadziei. On gaśnie z każdym dniem... Oto dlaczego tak źle mi na duszy! Nie chcę nikogo widzieć, prócz ciebie. Ty jesteś taka swoja, bliska. Nigdzie nie chcę wyjeżdżać. Wiesz jaka myśl właśnie przeleciała mi przez głowę?! Może głupia, dzika myśl, ale... Niby wprost jakiś fizyczny bodziec... Wydało mi się nagle, że między nową zbrodnią Gafamiego, którą on nazywa „miljardowym spadkiem“, a Ammałatem jest jakaś pośrednia łączność... — I z tęsknem zapytaniem w pięknych fiołkowych oczach Mar-Molli spojrzała na swoją przyjaciółkę.

— Nazwałabym to zestawienie faktów zbyt śmiałem! — odrzekła Manija.

— Jesteś zbyt delikatna, moja droga. Może chciałaś powiedzieć — szalonem!? Chwilami wydaje mi się samej, że zaczynam...

Ktoś zapukał do drzwi, które otworzyły się w ślad za tem i przepuściły wbiegającą Akteę. Drzwi się zamknęły, a śnieżnobiały chart rzucił się naprzód, zaczął się łasić do Maniji, obwąchiwać ją i trącać wilgotnym nosem jej ręce i suknię.

— Rozczula mnie wielce ten Gonzales. Trzymam go na takim dystansie... Aż samej wstyd. Biedny...! Nic mu więcej nie pozostało, jak wyprowadzać na spacer Akteę, którą sam mi ofiarował. Oh, jakże jesteśmy egoistyczne i okrutne, gdy nie kochamy... Tego nie można powiedzieć o mężczyznach.

— Ale za to mężczyzna nigdy nie bywa takim niewolnikiem, taką rzeczą, jak kobieta, która kocha! — zauważyła Mar-Molli.

O godzinie siódmej wieczorem, Manija, pełna nowych wrażeń, wróciła razem z Viljegasem i Akteą od znakomitego malarza. Viljegas odprowadził swoją towarzyszkę do hotelu i sam gdzieś szybko się oddalił, a Manija z hałasem i wesoło, razem z psem wpadła do swojego apartamentu.

Mar-Molli, która czytała powieść Alfonsa Daudet „Królowie na wygnaniu“, odłożyła książkę.

— Zajmująca była wizyta?

— Bardzo! Doprawdy Beltran-Massez jest wielkim artystą! Jakie portrety! A sam ma profil Napoleona. Wątpię tylko, czy Napoleon tak się perfumował, jak Beltran. Coprawda, to mu pasuje. Hiszpan i egzotyk. Były tam różne znakomitości, głośne tytuły i publiczność omal, że nie z ulicy. Jestem przekonana, że sam Beltran nie zawsze wie komu ściska rękę i sypie komplementami. Ale to jest ładne! On, właśnie on, może sobie pozwolić w swojem atelier na taki towarzyski groch z kapustą. Kogo tam tylko nie było?! I Marice Dekobra ze swoim sarkastycznym uśmiechem na cienkich mądrych ustach watykańskiego prałata. I hercogini d'Usesse... 80 lat. Trzęsie się głowa, trzęsie się lorgnon w wyschniętych palcach. Ale jest w pokrewieństwie z licznemi panującemi domami w Europie. Potem, potem, ktoż jeszcze? Jakiś miljoner z Chicago, jakiś austrjacki arystokrata. Pola Negri. Poraz pierwszy widziałam ją nie na ekranie. Pogodziła się z Beltranem. Pamiętasz, pisma pisały o ich procesie. Beltran namalował ją razem z Rudolfem Valentino. Z racji tego portretu... Ale to ich prywatna sprawa. A portret wspaniały. Taka zimna, modrawa gama. Morze, łódka, a w łódce boski Valentino z Polą Negri i z gitarą na kolanach. To znaczy Pola obok niego, a gitara — na kolanach.

Nie, strasznie pragnę, by Beltran namalował mnie! Aktea zrobiła sensację. Hercogini d'Usesse trzęsącą się ręką wyjęła z torebki czekoladowy cukierek i dała Aktei. Wszyscy wokół spojrzeli na siebie w pełnym szacunku zdumieniu. Ba! To rzadki zaszczyt, nawet dla ludzi, — otrzymać cukierek z własnych rąk hercogini. Tak, i cóż jeszcze? Viljegas mówił z Beltranem o cenie. Każdy portret będzie kosztował 5.000 dolarów, t. j. 125.000 franków. To jest zwykłe honorarjum Beltrana. Tak mu płacą królowie, księżne i gwiazdeczki kabaretowe. Moją myśl pozowania, jako naga Diana z chartem, zaakceptował, jako świetną. On przewidział nie tylko artystyczny efekt, ale i przysmak skandalu. A co za tem idzie — głośną reklamę. To będzie bardzo na rękę i jemu i mnie. To wszystko, prawie wszystko, moja droga Mar-Molli, moja smutna królowo! A u ciebie? Widziałaś się z tym panem? Aktea, już dość tego, wynoś się...

Mar-Molli uśmiechnęła się ironicznie i ze smutkiem.

— Odnoszę wrażenie, że on siedzi jak na rozżarzonych węglach, i musi koniecznie opuścić Paryż. Prawdopodobnie w związku z tym „spadkiem“, on nie chce nadal ryzykować i nadstawiać tu głowy.

— A zdjęcia?

— Co mu tam zdjęcia! Jedyna rzecz, która go tu jeszcze trzyma, to ja! Jak widzisz, staram się przytrzymać go tu jak najdłużej, aby już ostatecznie go zdemaskować. Tak, czy inaczej — ja go nie wypuszczę. Przysięgam tobie! — przyrzekła Mar-Molli z groźną miną, a po chwili jej rysy i oczy przybrały ironiczny i smutny wyraz. — On chciał skusić mnie jakiemiś nadzwyczajnemi perłami. Udałam zainteresowaną, sama zaś pomyślałam: na tych perłach czerwieni się krew, jeśli nie w dosłownem znaczeniu, to symbolicznie... Krew, droga Manijo, krew...

Mało słów — dużo szczęścia

Była dopiero dziewiąta rano, gdy okrągłutki Benau przyjechał do O'Donnela i jak piłeczka wtoczył się do wielkiego gabinetu, zawieszonego portretami znakomitości ekranu.

O'Donnel, sięgając przy biurku, przeglądał jakiś scenarjusz. Odłożywszy zeszyt, z miłym uśmiechem na młodocianej twarzy, ścisnął pulchną prawicę swojego reżysera.

— Czem mogę służyć rannemu ptaszkowi? Proszę siadać!

— Dzisiaj, jak pan wie, rozpoczyna się zjazd właścicieli większych teatrów świetlnych Francji, Anglji i Niemiec, — klapnąwszy w krześle, zaczął Benau, najmniej do „ptaszka" podobny. Wszyscy ci panowie są bardzo zainteresowani naszym filmem, który można będzie korzystnie sprzedać na pniu. Reklama zrobiła swoje. Już rozmawiałem z kilkoma. Trzeba koniecznie dziś jeszcze wyświetlić dla nich najbardziej sensacyjne „kawałki". W zupełnie zamkniętem kółku. Bez pracy.

— Świetna myśl! Dziś jeszcze zademonstrujemy „kawałki" w sali naszych zebrań. I skąd pan ma tyle energji?..

— Energji mam aż za dużo! Tylko niestety pański pokorny sługa od tego wcale nie chudnie, przeciwnie rozsadza go coraz bardziej!

Na stole zadzwonił telefon. Nie zmieniając wygodnej pozy, O'Donnel przyłożył słuchawkę do ucha.

— Tak jest, to ja. Kto mówi? Co takiego? — zmienił się na twarzy O'Donnel, rzucając roztargnione spojrzenie na Benau — pan, chan Mugański? To ja, O'Donnel. Poznaję pana głos, ale nie wierzę ani sobie, ani swoim uszom, nawet panu nie wierzę! Uważaliśmy już pana za nieboszczyka! Co za szczęście! Skąd pan mówi? A, wiem, wiem! Przy ulicy Richelieu, wychodzi na plac z ogrodem... Co? List? Mar-Molli listu nie otrzymała. Ona by się podzieliła tą radosną nowiną ze mną. Mój Boże, w żaden sposób nie mogę tego pojąć, że pan żyje!? Zobaczyć się? Naturalnie! Dziś jeszcze! Proszę przyjechać do restauracji „Ermitage" przy ul. Comartain. Zjemy śniadanie. Tam, przecież, wspaniała kuchnia! Przyjadę po pana koło godziny dwunastej i pan mi wszystko, wszystko opowie! Mar-Molli? Hotel przy placu Vendome, Ritz! Proszę do niej zadzwonić i wyznaczyć spotkanie. U niej, tam? Pod żadnym pozorem! W tym samym hotelu mieszka Gafani. Nie można go spłoszyć przed czasem. Do zobaczenia się! Proszę czekać na mnie!

O'Donnel był tak poruszony, że nie mógł nawet powiesić słuchawki. Położył ją na stole i jakoś cały osunął się w swojem krześle i znowu spojrzał na Benau z roztargnieniem.

Benau był nie mniej od niego zaskoczony. Ciężko oddychał, wycierając chustką spocone czoło.

— Cóż to jest? Wrócił z tamtego świata?

— Wszystko się rozjaśni, drogi Benau, wszystko się rozjaśni... Sam jestem w stanie zupełnego przytępienia. Zbliża się jakaś rozgrywka, którejby żaden autor scenarjuszy nie wymyślił... Ale — nikomu ani słowa! Nikomu! Słyszy pan?! Gdyby się ten gadału Gromenja dowiedział... Do ostatniej chwili Gafani niczego nie może podejrzewać. Ale co za szczęście, co za szczęście...

* * *

Ammałat nie omylił się w swoich przypuszczeniach.

Samo imię Diatza podziałało magicznie na kordulskiego konsula w Marsylji. A gdy konsul się dowiedział, że ma przed sobą Chana Mugańskiego, eksdowódcę całej kordulskiej kawalerji, uprzejmość konsula wzrosła jeszcze więcej.

Ammałat otrzymał paszport w kilku minutach, poza tem konsul delegował swojego sekretarza do władz francuskich, celem uzyskania wizy dla Chana Mugańskiego na wjazd do Paryża i przebywania tam.

Ajaks Pecano zakotwiczył swój statek na rejdzie, przekazując naczelną komendę nad nim i całą załogą Wasiljewowi, któremu pozostawił większą sumę na wyżywienie ludzi.

— Bardzo uczciwy człowiek! — poinformował Ammałata. — Wyliczy się zawsze do ostatniego franka. Poza tem jestem zupełnie spokojny. Polegam na nim, jak na samym sobie. Bardziej autorytatywnego człowieka w oczach naszych zabijaków nie można byłoby znaleźć. Wasiljew jednem uderzeniem wali z nóg młodego byczka.

Wieczorem zajęli przedział w sypialnym wagonie, obok wagonu restauracyjnego. Przy obiedzie z wielkiej radości dużo wypili. Ale alkohol nie działał na Ammałata. Jeśli go co rozmarzało, to bliskość Paryża, bliskość Mar-Molli i nagromadzonej, dojrzałej zemsty.

Do okien wagonu zalatywało świeże powietrze francuskich pól, migały drżącemi światełkami miasta i wioski. Ten nocny krajobraz, przesuwający się przed oczyma jadących, wywoływał jakiś słodki smętek, przechodzący w nieziemską radość...

Po obiedzie Pecano rozebrał się i zaraz zasnął. Ammałat długo oka nie zmrużył.

Rano, na pół godziny przed Paryżem, zaczęli ubierać się. Pecano wyjął smoking z walizki i włożył na siebie.

— Widzi pan, już jestem gotów. Na cały dzień i całą noc...

Innym razem to by się wydało śmiesznem, ale teraz Ajaks ze swoim wczesnym smokingiem był dla chana drogi i bliski. Przecież Ajaks uratował mu życie...

Paryż przyjął ich jasnym uśmiechem słonecznego poranku. Taksówką pojechali ulicami budzącej się stolicy, jednej z najpiękniejszych na świecie, i po kilku minutach zajęli dwa sąsiednie pokoje w hotelu przy ulicy Richelieu. A jeszcze po kilku minutach Chan rozmawiał przez telefon z O'Donnelem.

Obok niego w smokingu i w żółtym meloniku kołysał się na swych długich nogach Ajaks, włożywszy ręce do kieszeni.

— Pan ma swoje sprawy. A co ja mam robić? Czem wypełnić rano?

— Zaraz panu pomogę! Niech pan pojedzie do muzułmańskiego meczetu i dowie się, jaki jest adres mojego dziadka Ałmaz-Chana.

— Z przyjemnością. Ale gdzie jest ten meczet?

— Daleko. Koło Jardin de Plantes. Proszę się dowiedzieć na dole u portjera, a zresztą każdy szofer wie.

— Tylko, czy tam dadzą mi adres dziadka?

— Dadzą. A zwłaszcza, gdy pan się odezwie po turecku.

— Ja i po arabsku mogę!

Jak tylko Ajaks wyszedł, Ammałat chciał zadzwonić do hotelu na placu Vendome. Za kilka chwil on usłyszy głos Mar-Molli. I to właśnie wstrzymywało go, wstrzymywało jego rękę, sięgającą po słuchawkę. Wydawało mu się, że na dźwięk jej głosu on umrze z rozkoszy!

— Nie! Trzeba pokonać tę słabość!

Długo nie łączyli. Jakaś gmatwanina. Piszczący głos telefonistki mięszał się z jakimś barytonem. Ammałat denerwował się, ostro coś powiedział, tak samo ostro odpowiedział baryton i piszcząca telefonistka.

Wreszcie jakoś otrzymał połączenie...

Ammałat zaraz poznał srebrzysty sopran Maniji d'Or.

I zapytał:

— Manija d'Or.

— Tak, to ja. A tam kto mówi?

— Ammałat, Chan Mugański.

— Co za głupie żarty! To napewno pan, Gafani?

— Droga Manija, to ja, Chan! Nie poznaje pani mojego głosu? Przed chwilą przyjechałem i chciałbym jak najprędzej mówić z Mar-Molli.

— A... — tylko tyle mogła wyrzec Manija. Ammałat usłyszał, jak słuchawka wyślizgnęła się z jej ręki i uderzyła o coś twardego.

Nastąpiła maleńka pauza, poczem krótki urywany dialog dwuch kobiet i znowu pauza.

Do telefonu podeszła Manija:

— Czy pan jest przy aparacie? Chwileczkę... To jest takie nieoczekiwane... Mar-Molli... To zaraz minie... Zaraz... Chwileczkę...

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 22 listopada 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie 10.30 Koncert rozrywkowy z udziałem Janusza Popławskiego — płyty 12.03 Poranek muzyczny 14.00 Reportaż z życia 14.30 1000 taktów muzyki 15.30 Audycja dla wsi 16.30 Szkoda wąsów — suita staropolskich obyczajowych piosenek z końca 18-go wieku 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 19.00 Fragmenty z „Godów weselnych" Palestra 19.30 „Przebłyski idei kolonialnej wn aszej literaturze — szkice literackie 19.45 Muzyka salonowa 21.00 Na wesołej lwowskiej fali 21.50 Koncert w wyk. Ork. Marynarki Wojennej 22.35 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 23 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert w wyk. zespołu H. Adamskiej 12.40 O świetlicach dla dziewcząt — pogadanka 15.15 Muzyka lekka 15.55 Wszystkiego po trochu — aud. dla dzieci 16.30 Koncert orkiestry mandolinistów 17.00 Skarb w odrodzonej Polsce — odczyt 17.15 Koncert solistów 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Enrico Caruso — płyty 20.00 Mikołaj Rimskii-Korsakow: Szeherezada — muzyka baletowa 21.00 Pieśń i poezja robotnicza — wieczór literacki 21.30 Muzyka taneczna 22.00 Koncert na chór i orkiestrę smyczkową. 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 23 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Orkiestra Edith Lorand — płyty 15.15 Muzyka dla dzieci 16.30 Pieśni Niewiadomskiego 17 00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mówiona 17.15 Utwory kameralne na skrzypce i fortepian 17.50 „Koń trojański" Mariana Hemara — fragmenty 19.00 Dyskutujmy 19.20 „Juvenes dum sumus" — audycja literacko - muzyczna 20.15 Koncert symfoniczny 22.30 Kwadrans poezji 22.45 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 25 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Kwartet Zygmunta Schatza 15.15 Utwory Rio Gebhardta w wyk. Małej Orkiestry 16.10 „Gdy wielcy ludzie byli mali": „Mały Mozart" — słuchowisko 16.40 Jesień w pieśni — w wyk. Ireny Cywińskiej 17.00 „O pracy dla żołnierzy zwolnionych z wojska" — odczyt 17.15 Koncert chóru ukraińskiego 17.50 Miesiąc Polaków — felieton 19.20 Krzysztof W. Gluck: „Orfeusz" — opera w 3-ch aktach 21 00 „Opowieść o Chopinie" — wieczór 4-ty 21.45 Louis Spohr: Oktet E-Dur op. 32 22.20 Eksperymentalny Teatr Wyobraźni: „Głos z oddali" 23.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 26 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych 12.03 Posłuchajmy naszych piosenkarzy 15.15 Zespół Pawła Rynasa 16.35 Muzyka skrzypcowa — płyty 17.00 Uniwersytet w każdym mieście" — odczyt 19.00 Dookoła miłości — operetka w 3 aktach 20.30 „Z wędrówek po prowincji": „Kalisz" — pogadanka 21.00 Sylwetki kompozytorów polskich — Juliusz Zarębski 22.00 Koncert w wykonaniu zespołu „Almar i Ottmar" 22.30 Muzyka lekka i taneczna.

Piątek, dnia 27 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Mała Orkiestra Polskiego Radia 15 15 Wiązanki jazzowe — płyty 16.30 Koncert 17 00 Z podróży do Hiszpanii" — felieton 17.30 Utwory fortepianowe Mendelssohna-Bartholdy 18.50 Darowizna — felieton prawno-społeczny 19.00 „Dusze gołębie" — dialog miłośników gołębi 19.20 Z pieśnią po kraju 20.15 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej 22.00 „Nie tak prędko panie Drucik" — skecz 22.45 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 28 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Śpiewajmy piosenki 12.03 Koncert w wyk. Ork. Symf. P. R. 15.15 Muzyka węgierska 16.15 Koncert Orkiestry Wileńskiej 17.00 Koncert solistów 19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 19.30 Mała Orkiestra Polskiego Radia 20.30 Nowości literackie 21.00 Koncert kameralny 21.30 Łódzka orkiestra salonowa 22.00 „Wesoła Syrena": „Telefon usprawnia życie" 22 30 Muzyka taneczna — płyty.

HUMOR

Świetna myśl

— Twój reumatyzm jest coraz dotkliwszy, powinienbyś coś zrobić.

— Masz rację, jak tylko będę mógł chodzić, pójdę do doktora.

Dobry sposób

— Jakto, panie Henryku, z mojego powodu, dla mnie, miał pan pojedynek?

— Tak, panno Ado!

— Jestem naprawdę wzruszona — a jakiż był jego przebieg.

— Bardzo dla mnie pomyślny — nie poszedłem mianowicie wcale na miejsce spotkania.

Wierność

— Słuchaj Robercie, po głębokim namyśle doszłam do wniosku, że z nas nie będzie szczęśliwej pary i dlatego nie zgodzę się zostać twoją żoną.

— Cóż wpłynęło na taką decyzję?

— Widzisz, ty jesteś lekkomyślny i nie potrafisz dochować wierności kobiecie.

— Co?! Ja nie potrafię być wiernym? Dwunastu kobietom byłem wierny, to i ciebie nie zawiodę...!

Z sali koncertowej.

Do sali koncertowej wkracza dwóch policjantów podczas gry na fortepianie.

— Czego panowie sobie życzą — zapytuje bileter.

— Telefonowano do komisarjatu, że tu mordują jakiegoś Beethovena.

Pomysłowa zabawa

Ojciec wchodzi do dziecinnego pokoju i widzi następujący obrazek:

Zuzia leży na kanapie z kompresem na główce, Miecio siedzi przy niej z okularami na nosie, a Staś leży na piecu.

— Co to ma być — pyta zdziwiony ojciec.

— Bawimy się w Ubezpieczalnię Społeczną... — odpowiada Miecio. — Zuzia jest pacjentką, a ja lekarzem...

— Dobrze, a co Staś robi tam na piecu?..

— Wysłałem go w góry na świeże powietrze — odpowiada Miecio.

Zagalopował się

— Kierownictwo naszego teatru odznacza się wielkimi zdolnościami. Umie tak genialnie kalkulować, że teatr ten chyba nigdy nie może upaść.

— Nie przypuszczasz tej możliwości?

— Nie przypuszczam. Na samych tylko programach i garderobach zarabiają tyle, że wyjdą na czysto, nawet gdyby ani jeden człowiek nie chodził do teatru.

Jak nie kijem, to pałką

— Dokąd biegniesz?

— Do domu, bo mama ma mnie wybić.

— Czemu się śpieszysz?

— Bo później to by mnie ojciec wybił.

W szkole

Nie zaznają w zimie głodu bezrobotni, jeśli każdy złoży ofiarę na Pomoc Zimową.



PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadecki h 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.